CZYTELNIA POLSKA

TOM IX.

JÓŹ. MARYAN HERTZMANN
ARCHITEKT.

Alfons Daudet

Nowele

z czasów oblężenia Paryża

KRAKÓW
STARANIEM S. SZCZEPANOWSKIEGO I A. POTOCKIEGO
1898.

Nowele z czasów oblężenia Paryża - całość

Alphonse Daudet

Staraniem S. Szczepanowskiego i A. Potockiego, Kraków, 1898

Pobrano z Wikiźródeł dnia 23 października 2025

CZYTELNIA POLSKA

»TOM IX.«

Alfons Daudet

Nowele

z czasów oblężenia Paryża

KRAKÓW
STARANIEM S. SZCZEPANOWSKIEGO i A. POTOCKIEGO
1898.

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarzadem Józefa Filipowskiego.

ALFONS DAUDET.

Alfons Daudet urodził się w r. 1840 w Nimes na południu Francyi. Już w 18-ym roku życia rozpoczął karyerę literacką tomikiem poezyi. Następnie poświęcił się wyłącznie powieści. Od roku 1869, w którym wyszły jego *Listy z Młyna*, aż do czasów ostatnich, Daudet wydał kilkadziesiąt tomów powieści. Tematy do nich czerpał z życia współczesnego: w *Nieśmiertelnym* przedstawiał świat akademicki Paryża, w *Nababie* ludzi z epoki drugiego cesarstwa, w *Fromont młodszym i Risler starszym*, w *Ewangelistce*, *Petit Chose*, *Jack'u* i t. p. świat mieszczański, w *Tartarin z Tarasconu* południowców francuskich i t. d.

Powieści te zjednały mu wziętość poza granicami ojczyzny — tłómaczono je na wszystkie języki europejskie. Wśród swoich był Daudet ulubieńcem publiczności i towarzyszów pracy — kochano go i otaczano do ostatnich dni życia. Umarł wśród projektów nowych prac w grudniu roku 1897.

Niewysoki, szczupły, przezroczyście niemal blady pod śniadością południowca, z aureolą artystycznych włosów nad czołem, o głębokich ciemnych oczach — »magnetycznych« oczach, jakby powiedziano w roku 1830 — był Daudet wśród autorów francuskich współczesnych jakby zabłąkanym przypadkowo z dobrych romantycznych czasów rówieśnikiem Musseta i George Sand. Wiał od niego jakiś urok cyganeryi à la Murger, grały w jego wierszach o »wisienkach«, o »trzewiczkach« jakieś zapóźnione echo łatwych, świeżych, rzewnych piosnek, którym tak dobrze wtórował ongi brzęk gitary. I ten debiut literacki trubadura z Prowancyi w Paryżu, o którym sam opowiada z rzewnym humorem, był również jakiś inny od dzisiejszych debiutów — jakiś bardziej poetyczny, lekkomyślny i naiwny. »Od kolebki biegła za mną czarodziejska baśń tęczowa«, mógł powiedzieć o sobie. Inni mówili o nim, że był pełen »kobiecego wdzięku«, że był tkliwy, rzewny i subtelny. I ponieważ każdemu autorowi po za mniej lub więcej wyczerpującą charakterystyką francuski zmysł klasyczny dodaje jakiś epitet, jakieś słowo, odpowiadające jego rysowi najistotniejszemu, miał i Daudet takie swoje słowo. *C'est une seduction universelle*, mówi o literackiej działalności Daudeta Juliusz Lemaitre.

C'est un grand charmeur, powiada jego biograf Felicyan Champsau. Nawet egoistyczne i niespokojne pióro Goncourta w *Journalu* znajduje ton miękki, pieszczotliwy, kiedy kreśli jakiś rys czy szczegół z życia Daudeta. Goncourt tak mówić umiał tylko o kobietach. Nawet Zola,

któremu słusznie przysługują w literaturze francuskiej epitety »ciężki i potężny« *(lourd et puissant)*, mówiąc o Daudecie w swych *Ronianciers naturalistes*, staje się prawie figlarnym i miewa tkliwe przelotne uśmiechy, ile razy swą ciężką prawicą dotyka tych utworów, pełnych niewymuszonego piękna, jak osypane kwieciem pomarańcze. Zola mówi o powieściach Daudeta, że wypełnia je jakaś melodyjna wrzawa, że są jak »gniazda ptasie pełne szczebiotu«. I znowu powraca epitet przez wszystkich używany: *C'est un charmeur incomparable*.

Lecz cóż w gruncie rzeczy stanowi ów urok nieprzeparty Daudeta? Jest to przedewszystkiem urok, jaki bić musi od człowieka rozmiłowanego w życiu, pełnego werwy, dowcipu, łez i uśmiechów, który się znalazł nagle w otoczeniu mniej lub więcej solidnych, bardzo nawet utalentowanych, ale cokolwiek jednostronnych i ciężkich doktrynerów. W literaturze francuskiej współczesnej takiem było położenie Daudeta wśród obozu naturalistów. Wśród bojowników tego obozu, wśród tych ludzi przejętych nadzwyczajnemi ważnościami swej misyi, dochodzących do stanu pośredniego między jakąś *delectatio morosa*, a smętkiem, scharakteryzowanym w innem łacińskiem twierdzeniu, wśród tych towarzyszy broni ciężkiego kalibru, był Daudet jakby wolnym, lekkim harcownikiem szkoły.

Nie jestże to istotnie czemś uroczem, przez samą oryginalność połączenia, ten zmysł niesłychanie ostrej spostrzegawczości i zamiłowania prawdy w sztuce obok subtelnej i rzewnej serdeczności, które tworzą razem nastrój

takich utworów Daudeta jak *Petit Chose?* Nie pamiętam już, który krytyk zauważył, że naturalizm Daudeta ma pewne rysy wspólne raczej z naturalizmem angielskim, który jest bardziej ludzki, niż z francuskim, który tak często wpada w pewną szematyczność.

Powieści Daudeta obfitują istotnie w sylwetki oryginałów, w których się tak lubuje każdy Anglik. I jest w nich chwilami ta sama rzewność, ten sam śmiech przez łzy, lub jakiś swawolny czy miły grymas tuż obok patetycznej sceny, które to rysy tak czarują w Adamie Bede, Silos Marner lub Dawidzie Copperfieldzie.

Możnaby powiedzieć o naturalizmie Daudeta, że miał indywidualną tendencyę, poniekąd przeciwną tendencyi całej szkoły. Podczas kiedy naogół naturalizm francuski dąży do rozłożenia życia na jego pierwiastki najbrutalniejsze, Daudet, znając aż nadto grunt życia, chętnie pokaże, jak z kałów jego tworzą się kwiaty. Przebaczono mu to dość chętnie w obozie naturalistów, choć nie bez źdźbła złośliwości twierdził Zola, że Daudet jest awangardą naturalizmu, że nawet panie godzą się na taki naturalizm, że to jest naturalizm »ogniska rodzinnego«... Na to ostatnie twierdzenie może jednak autor Sapho nie zapracował?

Jest jeszcze w tej żywej fizyonomii literackiej drugi rys znamienny, który przyczynia się w niemałym stopniu do uroku jego utworów. Jest to już rys nawskróś modernistyczny, mówię o nadzwyczajnej nerwowości Daudeta. Daudet z opisu biografów, z opowiadań rozrzucanych po Dzienniku najbliższego swego przyjaciela

Goncourta wygląda jak istna senzytywa. Jest jakby kunsztownym akumulatorem elektryczności, z którego ta siła wydobywa się bez przerwy, podniecając, bawiąc, budząc otoczenie w tysiącznych skrach dowcipu, błyskawicznych obserwacyach, zdaniach, pękających jak rakiety werwy. Ta nerwowość nie jest rozbolałą, nie była taką przynajmniej aż do ostatnich dni Daudeta, kiedy cierpienia zaostrzyły ją i uczyniły bolesną i chorobliwą.

Daudet był wrażliwy i nerwowy, tą specyalną nerwowością południowców, która zdaje się stanowić właśnie o ich zdrowiu moralnem i fizycznem. Taka nerwowość łączy się z potrzebą ruchu, dźwięku, gry kolorów, jest — jakby się o Polaku powiedziało — pełna fantazyi, lub ponieważ mowa o gaskończyku, pełna gaskońskiej werwy. Jest to nerwowość kokieteryjna i malownicza. To ona właśnie daje ten uroczy pozór utworom Daudeta, pozór, któryby się chciało przyrównać do gry ruchliwej fizyonomii.

Śmiech i pewien dar podpatrywania komizmu, zwłaszcza komizmu sytuacyjnego, jest jej uzupełnieniem. To tylko taki pisarz mógł zaobserwować i odtworzyć nieśmiertelną postać *Tartarina z Tarasconu*. On sam był zresztą prawie bliskim krewnym, a w każdym razie sąsiadem swego bohatera — najbliższym sąsiadem z Nimes. Sam mówił tym południowym akcentem, który naprawdę podobny jest, jak chce Flaubert i Sienkiewicz, do dźwięku miedzianych naczyń. Sam się lubował w niezwykłych sytuacyach, gestykulował, zapalał się, poił dźwiękiem własnych słów i w końcu najpatetyczniejszej tyrady, na jedno mrugnięcie

oka współziomka, gotów był roześmiać się szczerym, niepohamowanym śmiechem. My dzięki temu mamy na długie lata żywy komizm Tartarina, aptekarstwa Besuquet, komendanta Bravidy, wielbłąda z Algieru i zająca z pod Tarasconu — a nawet, jak sądzę, najlepsze sceny z *Królów na wygnaniu*.

Zdaje mi się, że ten rys nerwowej ruchliwości, czy ruchliwej nerwowości, tłómaczy nam zarazem jeszcze jeden bardzo ważny, już dla powodzenia, nie zaś wartości Daudeta, rys jego powieści. Powieść ta mianowicie była zawsze niezmiernie aktualną. Można powiedzieć śmiało, że Daudet, nie goniąc wcale za reporterską sławą, bywał jednak chwilami niezrównanym reporterem współczesności. Zresztą można to nazwać »współczesną historyą«, jak też nazwano *Naboba, Królów na wygnaniu, Ewangelistkę, Nieśmiertelnego*. Ale że współcześni w jałowym *Astiers-Réhus* dopatrują się rysów któregoś z rzeczywistych nieśmiertelnych, lub że, co nie ulega zresztą wątpliwości, książę Mora z *Naboba* jest istotnie wzorowany na słynnym de Morny, że wreszcie sam Nabob-Jan, Soulet, lub Chrystyan któryś naprawdę niewiele lat temu jadał u Maire'a czy Ledoyen'a — to cóż to nas d z i s i a j może obchodzić?

Kwestya aktualności reporterskiej, t. j. szeptania sobie na ucho nazwisk istotnych bohaterów powieści, nie istnieje już dla powieści Daudeta poza Paryżem. Tymczasem pozostaje to, co istotnie jest »historyą współczesną«, a więc przyczynkiem do psychologii ludzkiej na dziś i na przyszłość — pozostaje gorączka wielkomiejska, atmosfera

życia wśród inteligencyi paryskiej, pozostaje klasyczny obraz koronowanej cyganeryi — rysy niewątpliwie »aktualne«, ale już aktualnością ducha epoki, nie zaś ostatnich nowości. W takiej fali życia bieżącego, w takim wartkim nurcie zdarzeń musiał się zanurzyć i upodobać sobie talent tak wrażliwy, jak talent Daudeta.

A dla serc tkliwych, dla ludzi, którzy chorobliwie boją się wrzawy dnia dzisiejszego, którzy nie znoszą nawet dźwięcznego śmiechu Tartarina, którzy się nie lubią gubić wśród natłoku zdarzeń *Naboba*, lub *Królów na wygnaniu*, pozostanie Daudet autorem *Jack'a*, nowel niezrównanych w kunsztowności uczucia, scen, dzieciństwa małego Petit Chosea, w których łzy perlą się na kwiatach stylu, i czuć serce poety, serce wrażliwe i drżące, jak mimoza. Któż wie, czy nie to właśnie jest w nim warte najdłuższej pamięci?

Dlatego właśnie wybraliśmy do przekładu przedewszystkiem nowele Daudeta. W nich znajdzie czytelnik szlachetną, kochającą, wrażliwą duszę poety, pełną ech z pola walki, w której sam przyjmował udział. W drobnych napozór faktach, w postaciach ludzi maluczkich oddał tu Daudet i bohaterstw a i upadki tych ciężkich dla Francyi dni. Niejedna z tych nowel jest jak rubinowa kropla krwi, wytoczona z pod serca w porywie wielkiej miłości...

Antoni Potocki.

OSTATNIA LEKCYA

OPOWIADANIE MAŁEGO ALZATCZYKA.

Tego dnia spóźniłem się bardzo do szkoły i obawiałem się bury, tem bardziej, że p. Hamel zadał nam imiesłowy, których nie umiałem wcale. Na chwilę przyszła mi nawet myśl do głowy opuścić lekcyę i pójść sobie na przechadzkę w pole.

Było tak ciepło, jasno!

Zdaleka dochodziły dźwięki pogwizdywania kosów na skraju lasu i odgłosy musztrujących się Prusaków po za tartakiem na łące Rippert. Wszystko to pociągało mnie daleko bardziej, niż prawidła o imiesłowach; lecz miałem dość siły, ażeby oprzeć się i prędko poszedłem do szkoły.

Przechodząc koło urzędu mera, spostrzegłem gromadkę ludzi, tłoczących się przed małą kratą z ogłoszeniami. Od dwóch lat już ztamtąd wychodziły dla nas wszystkie złe nowiny: przegrane bitwy, nowe rozporządzenia i rozkazy władzy.

Pomyślałem też sobie, nie zatrzymując się:

— Coś tam znowu nowego.

Kiedy tak przebiegałem plac, nagle kowal Wachter, który z narzędziem swem w ręku właśnie odczytywał ogłoszenie, krzyknął za mna:

— Nie śpiesz się tak mały, zawsze jeszcze zawcześnie przyjdziesz do tej twojej szkoły.

Pomyślałem, że kpi sobie ze mnie i cały zdyszany wpadłem na podwórko p. Hamla.

Zwykle przed rozpoczęciem lekcyi panował w szkole tak wielki hałas, że na ulicy było słychać. Otwierały się i zamykały pulpity, wszyscy odrazu powtarzali głośno lekcyę, przyczem dla lepszego zrozumienia zatykali sobie uszy, rozlegały się uderzenia o stół grubej linii p. profesora i jego głos.

— Ciszej dzieci.

Liczyłem na to wszystko i łudziłem się, że potrafię niepostrzeżenie dostać się do swojej ławki; ale tego dnia była jakaś przerażająca cisza! Jak w niedzielę!

Przez otwarte okno ujrzałem kolegów, siedzących zupełnie spokojnie na swoich miejscach i pana Hamla, przechadzającego się tam i napowrót z ową straszną żelazną linią pod pachą. I podczas takiej ciszy trzeba było otworzyć drzwi i wejść! Możecie sobie wyobrazić, jaki byłem czerwony i jak się bałem. Lecz cóż to? P. Hamel spojrzał na mnie bez gniewu i powiedział łagodnie:

— Idź prędko na twoje miejsce, biedny Franiu, mieliśmy już zacząć bez ciebie.

Przeskoczyłem ławkę i usiadłem natychmiast przed swoim pulpitem.

Teraz dopiero, ochłonąwszy trochę z przerażenia, spostrzegłem, że nasz nauczyciel miał na sobie swój piękny, zielony surdut, cieniutki karbowany żabot i małą haftowaną czapeczkę z czarnego jedwabiu, którą wkładał tylko podczas wizyt inspekcyi lub podczas rozdawania. Cała klasa zresztą wyglądała jakoś niezwykle uroczyście. Ale co

mnie najbardziej zdziwiło, to, kiedy ujrzałem na pustych zwykle ławkach w głębi sali ludzi ze wsi, siedzących tak samo jak my w milczeniu. — Stary Hauser w trójgraniastym kapeluszu, dawniejszy mer, dawniejszy pocztylion i wielu innych. Wszyscy oni byli jacyś smutni. Hauser trzymał na kolanach duży elementarz z mocno podniszczonymi brzegami i swoje wielkie okulary.

Kiedy się tak dziwiłem tem u wszystkiemu, p. Hamel wszedł na katedrę i tym samym łagodnym i poważnym głosem powiedział do nas:

— Dzieci moje, dziś po raz ostatni mam z wami lekcyę... Przyszedł rozkaz z Berlina, ażeby w szkołach Alzacyi i Lotaryngii uczyć tylko niemieckiego... Nowy nauczyciel ma przybyć jutro; dziś to wasza ostatnia lekcya francuskiego, proszę więc, bądźcie uważni.

Te kilka wyrazów przejęły mnie do głębi.

Nędznicy! więc to to ogłoszenie czytano w merostwie!

Moja ostatnia lekcya francuskiego!...

Jakto? ja, co zaledwie umiem pisać, nie będę się już wcale uczyć!... na tem trzeba poprzestać!... O, jakże żałowałem teraz czasu straconego, lekcyj opuszczonych dla wyszukiwania gniazd ptasich, lub ślizganiu się po Jaar!...

Wszystkie moje książki, gramatyka, historya św. które dotąd znajdowałem nudnemi i ciężkiemi do noszenia, teraz wydały mi się najbliższymi przyjaciółmi, z którymi przykro byłoby mi się rozstawać. Były one jakby cząstką p. Hamla. Na samą myśl, że on ma odjechać, że go już więcej nigdy może nie zobaczę, zapomniałem o wszystkich karach, o uderzeniach linią.

Biedny człowiek!...

Więc to dla uczczenia tej ostatniej lekcyi ubrał się on w swój odświętny ubiór!... Teraz zrozumiałem, dlaczego zeszli się i siedzą tam w głębi sali ci wszyscy starzy wieśniacy, chcieli przez to wyrazić swój żal, że nie dość często przychodzili do szkoły. Był to też rodzaj podziękowania naszemu nauczycielowi za sumienną, czterdziestoletnią pracę, a także jakby spełnienie obowiązku względem upadającej ojczyzny...

Byłem tak zatopiony w rozmyślaniach, kiedy usłyszałem wywołane swoje nazwisko. Przyszła na mnie kolej wydawania lekcyi. Cóżbym był dał za to, żeby módz dobrze, bez zająknienia powiedzieć owe sławne prawidła o imiesłowach; ale niestety! już przy pierwszych wyrazach zacząłem się jąkać. Stałem w ławce, przestępując z nogi na nogę, z sercem wezbranem, nie śmiejąc podnieść głowy. Wtem usłyszałem głos pana Hamla.

— Nie będę się gniewał na ciebie, mój mały Franiu, jesteś sam dość ukarany... tak to zawsze bywa... Powtarzamy sobie zwykle: et, mam dosyć czasu, nauczę się jutro, a potem widzisz, co się robi... To jest właśnie nieszczęściem naszej Alzacyi, że wszystko odkładamy do jutra. Teraz wrogowie nasi mają prawo powiedzieć nam: Jakto! chcecie uważać się za Francuzów, a nie umiecie ani czytać, ani pisać w waszym języku... W tem wszystkiem nie ty jeden, biedny mój chłopcze, jesteś najwinniejszym; każdy z nas ma dużo do wyrzucenia sobie... Wasi rodzice za mało byli gorliwi w nauczaniu was; woleli posyłać was do jakiejś pracy w polu, lub do przędzalni, chcąc zarobić parę

su. A czyż ja sam nie mam żadnych wyrzutów do zrobienia sobie! Ileż to razy kązałem wam podlewać mój ogródek zamiast was uczyć! A kiedy zachciało mi się czasem pójść na połów pstrągów, nie zawahałem się uwolnić was od zajęć.

Przechodząc w ten sposób od jednej kwestyi do drugiej, wkońcu zaczął p. Hamel mówić o języku francuskim. Powiadał, ze jest on najpiękniejszym, najdźwięczniejszym i najpoważniejszym w świecie; zaklinał nas, abyśmy go pielęgnowali i nie zapominali, bo — według słów jego — naród, który, będąc w niewoli, zachował swój język, ma zawsze w ręku klucz od swego więzienia... Potem wziął gramatykę i przeczytał nam naszą lekcyę.

Byłem zdumiony, ze tak doskonale wszystko rozumiałem. Sądzę, ze nigdy nie słuchałem tak uważnie i nigdy też nasz nauczyciel nie tłómaczył z taką cierpliwością. Zdawało się, że przed opuszczeniem nas chciał całą swoją wiedzę przelać w nasze głowy.

Lekcya była skończona. Przeszliśmy do pisania. Na ten dzień p. Hamel przygotował zupełnie nowe wzory, napisane pięknem rondem: F r a n c y a , A l z a c y a , F r a n c y a , A l z a c y a. Te kartki z napisami, poprzyczepiane do rogów naszych pulpitów, tworzyły jakby małe chorągiewki dokoła całej klasy. Trzeba było widzieć, jak każdy z nas starał się i jakie panowało milczenie! Nic nie było słychać, prócz skrzypu piór po papierze. Przez otwarte okno wpadły na chwilę dwa chrabąszcze, lecz nikt nie zwrócił na nie uwagi, nawet ci najmniejsi, którzy z serdecznym zapałem kreślili laski, jakby i one były też francuskiemi... — Na dachu

szkółki gruchały gołębie przyciszonym głosem; słysząc je, pomyślałem sobie:

— Czy i im też każą gruchać po niemiecku?...

Kiedy od czasu do czasu podniosłem głowę, widziałem zawsze p. Hamla, siedzącego nieruchomo na katedrze i przyglądającego się uważnie wszystkim przedmiotom, znajdującym się dokoła niego — jakby chciał zatrzymać w swej pamięci obraz całego tego małego domku szkolnego... Bo pomyśleć tylko! Przez czterdzieści lat znajdował się zawsze na tem samem miejscu, mając zawsze tę samą klasę przed oczami, a tam dalej za oknem zawsze to samo małe podwóreczko. Tylko ławki i pulpity niszczyły się od użycia, wyrastały coraz wyżej orzechy na podwórzu, a chmiel, zasadzony jego własną ręką, tworzył teraz wspaniały wieniec dokoła okien, aż pod dach. Jakiegoź serdecznego bólu musiał doznawać ten biedny człowiek, żegnając się z tem wszystkiem i słysząc teraz oto kroki swej siostry, która tam na górze w małym pokoiku krzątała się około pakowania rzeczy! Jutro muszą wyjechać ztąd, opuścić kraj na zawsze!... Pomimo tego p. Hamel miał dość siły i energii, ażeby zrobić z nami tę ostatnią lekcyę do końca. Po kaligrafii nastąpiła historya, później malcy śpiewali chórem: ba, be, bi, bo, bu. A tam w głębi sali stary Hauser w okularach na nosie trzyma w dwóch rękach swój zszargany elementarz i sylabizuje razem z dziećmi. Widać, że się też stara bardzo — głos jego drżał ze wzruszenia. Było tak śmiesznie i smutno słuchać go, że nam się chciało śmiać i płakać razem...

Nagle zegar na kościele wybił dwunastą, później

zadzwoniono na Anioł Pański.

W tej samej chwili pod oknami naszemi rozległy się trąbki Prusaków, wracających z ćwiczeń... P. Hamel podniósł się na katedrze — był przerażająco blady. Nigdy nie wydał mi się tak wielkim.

— Moi przyjaciele... — powiedział do nas — moi przyjaciele... ja... ja...

Coś go dusiło, nie mógł dokończyć. Raptownie zwrócił się do tablicy, oparł się o nią z całej siły i kawałkiem kredy napisał ogromnemi literami:

— Niech żyje Francya!...

I pozostał tak oparty o mur, nie mówiąc ani słowa, tylko ręką dawał znaki, jakby chciał powiedzieć:

— Wszystko już skończone!... odejdźcie!...

PARTYA BILARDU.

Po dwudniowej bitwie, po nocy spędzonej na ulewnym deszczu z tornistrami na plecach, żołnierze muszą być bardzo zmęczeni. A jednak oto od trzech godzin już każą im ziębnąć jeszcze z bronią do nogi w kałużach gościńców, w błocie pól, zalanych wodą. Ociężali ze znużenia po nieprzespanych nocach, w mundurach przemokłych do nitki cisną się biedacy jeden do drugiego, ażeby się rozgrzać

trochę, ażeby się podtrzymać wzajemnie. Niektórzy śpią, stojąc, oparci o tornister sąsiada, a na ich twarzach wyciągniętych, pogrążonych we śnie, jeszcze bardziej uwydatniają się zmęczenie i przebyte niewygody.

Ani ognia, ani ciepłej strawy, tylko niebo niskie, ciemne i nieprzyjaciel, którego się czuje dokoła... To okropne!

Cóż robią tam? Co się tam dzieje?

Armaty, zwrócone paszczą ku lasowi, zdają się węszyć coś. Mitraliezy, ukryte w zasadzce, jakby śledzą uporczywie widnokrąg. Wszystko gotowe do ataku. Dlaczegóż nie atakują? Na co czekają?...

Czekają na rozkazy, lecz główna kwatera nie przysyła ich.

A jednak niedaleko ztąd znajduje się owa główna kwatera, w tym pięknym zamku w stylu Ludwika XIII. Tam na pagórku połyskują, obmyte deszczem, czerwone cegły podmurowania. Prawdziwie książęca rezydencya, godna dźwigać na sobie chorągiew marszałka Francyi!

Ze strony tylnej głęboki rów i kamienna spadzistość oddzielają ją od drogi; gęste zielone trawniki, otoczone klombami kwiatów, dochodzą do samego ganku. Z drugiej strony frontowej młode graby tworzą wspaniałe altany, połyskuje lustrzana tafla wody, po której pływają łabędzie, a pod dachem ptaszyńca w kształcie pagody, wśród zieleni, pawie i złote bażanty zataczają koła, trzepocąc skrzydłami i wydając przeraźliwe krzyki. Chociaż państwo ich odjechali, one nie czują opuszczenia ani strasznego znieprawienia wojny. Dzięki chorągwi głównego wodza nic nie uległo zniszczeniu, zostały nawet najdrobniejsze kwiatki na

trawnikach. Jakież to zachwycające, gdy można znaleźć w pobliżu pola walki taki spokojny przepych, wypływający z porządku rzeczy, nienaruszone kontury fundamentów, głęboką ciszę alei!...

Ta słota, która tam niżej tworzy takie ohydne błoto, ryje głębokie bruzdy — tutaj jest tylko eleganckim, arystokratycznym deszczem, ożywiającym czerwoność cegieł, zieleń trawników, nadającym połysk liściom pomarańczowym i białym skrzydłom łabędzi. Wszystko lśni się, wszystko spokojne! Doprawdy, żeby nie flaga, powiewająca na szczycie dachu i ci dwaj żołnierze, stojący przy wejściu, poza sztachetami, trudno byłoby się domyśleć, że tu jest główna kwatera wojskowa. Konie odpoczywają spokojnie w stajniach. Tu i ówdzie spotkać można masztalerzy, małego ordynansa w okolicach kuchni, albo jakiegoś ogrodnika w czerwonych spodniach, posuwającego spokojnie gracą po piasku podwórza.

W sali jadalnej, której okna wychodzą na ganek, widać stół z na wpół tylko zdjętem nakryciem. Pełno tam odkorkowanych butelek, napełnionych i pustych szklanek, obrus poplamiony i zgnieciony jak po skończeniu uczty, kiedy goście odeszli.

Z przyległego pokoju dochodzą wesołe głosy, śmiech, słychać taczanie się kul bilardowych i brzęk szklanek. Pan marszałek gra w bilard — i oto dlaczego wojsko napróżno oczekuje na rozkazy. Kiedy raz pan marszałek zacznie partyę, może się niebo zawalić, nic w świecie nie oderwie go przed skończeniem.

Bilard!

To słabostka tego wielkiego wojaka.

Przy grze on jest tak samo poważny jak podczas bitwy: postawa wyniosła, pierś pokryta orderami, oczy błyszczące, policzki zaróżowione pod działaniem gry i grogu. Jego adjutanci otaczają go, gotowi na każde skinienie, pełni szacunku, wyrażający zachwyt z powodu każdego uderzenia dowódcy. Kiedy marszałek zrobi punkt, wszyscy śpieszą oznaczyć go; kiedy zechce pić, wszyscy chcą mu przyrządzać ulubiony grog. Słychać szmer ścierających się epoletów, różnobarwnych sznurów, delikatny brzęk krzyżów, akselbantów... Widząc te miłe uśmiechy, eleganckie ukłony, pełne wykwintnej grzeczności, tyle haftów, nowe uniformy tu w tej wysokiej sali z dębowemi ozdobami — przypominało się jesienne przyjęcia w Compiegne[1] i zapominało się o biedakach w zaszarganych kapotach, którzy marzną tam wzdłuż drogi, tworząc taką ponurą grupę na deszczu...

Partnerem marszałka jest niskiego wzrostu kapitan generalnego sztabu, wysznurowany, ufryzowany, w jasnych rękawiczkach; jest on mistrzem w grze bilardowej i może pobić wszystkich marszałków na świecie. Ale umie trzymać się na przyzwoitej, pełnej szacunku odległości od swego szefa, umie też nie wygrać i nie poddać się zbyt łatwo. To się nazywa być oficerem, mającym przyszłość...

Baczność młodzieńcze, trzymaj się dobrze!... Pan marszałek ma piętnaście, a ty dziesięć. Chodzi tylko o to, abyś do końca tak grę poprowadził, a w ten sposób więcej zrobisz dla swojej karyery, niż gdybyś mókł tam z innymi, pod potokami wody, która zasłania widnokrąg, zbrukałaby

twój piękny mundur, poczerniła złoto twoich akselbantów i stałbyś, czekając rozkazów, które nie nadchodzą...

To doprawdy bardzo zajmująca partya! Kule toczą się, trącają, mieszają się ich barwy. Bandy odbijają dobrze, sukno się rozgrzewa... Nagle na niebie błysnął płomień wystrzału armatniego. Głuchy huk wstrząsnął szybami. Wszyscy drgnęli i spojrzeli na siebie z niepokojem. Tylko marszałek nie widzi i nie słyszy nic. Pochylony nad bilardem, jest właśnie zajęty wspaniałą kombinacyą, opartą na »cofańcu«. To główna jego siła owe kombinacye »cofańcowe«.

Ale otóż nowa błyskawica, potem druga. Wystrzały armatnie grzmią jedne po drugich, coraz częściej. Adjutanci biegną do okien. Czyżby Prusacy atakowali?...

— Dobrze, niech atakują — powiedział pan marszałek, robiąc białą bilę. — Kapitanie, pan grasz.

Generalnym sztabem wstrząsnął dreszcz uwielbienia.

Tureniusz uśpiony na lawecie jest niczem wobec tego marszałka, tak spokojnie grającego w bilard podczas samej akcyi. Tymczasem hałas wzmaga się. Z hukiem armat mieszają się salwy mitraliez i wystrzały piechoty. Jakaś mgła czerwona z czarnymi brzegami wznosi się przy końcu trawników. Cały park w głębi jest w ogniu. Przerażone pawie i bażanty krzyczą w ptaszyńcach. Konie arabskie, czując proch, niepokoją się w stajniach. Główna kwatera zaczyna się ożywiać. Depesze za depeszami... cwałem przylatują sztafety; żądają marszałka.

Ale pan marszałek jest nieprzystępny, ponieważ, jak wam mówiłem, nic nie może go oderwać od gry przed

ukończeniem partyi.

— Pan grasz, kapitanie...

Lecz kapitan jakiś roztargniony. Co to znaczy jednakże być młodym! Oto traci głowę, zapomina się w grze i raz po razie robi dwie serye, które prawie zupełnie zapewniają mu wygranę. Tym razem marszałek wpadł we wściekłość. Na jego męskiej twarzy maluje się zdziwienie i niezadowolenie.

Właśnie w tej samej chwili rumak wyciągniętym kłusem wpada na dziedziniec. Jeden z adjutantów łamie zakaz i jednym skokiem wpada na ganek.

— Marszałku, marszałku!...

Trzeba było widzieć, jak został przyjętym! Sapiąc z gniewu, zaczerwieniony jak kogut, z kijem bilardowym w ręku, ukazuje się marszałek w oknie.

— Co to jest? co się stało? Czy to niema warty tutaj?

— Ależ panie marszałku!...

— Dobrze, dobrze!... natychmiast!... niech czekają na rozkaz... do stu dyabłów!...

Okno zamknęło się gwałtownie.

Niech czekają jego rozkazów!...

A cóż innego robią od dawna ci biedacy? Wiatr dmucha im prosto w twarz deszczem i kartaczami. Całe bataliony zniszczone, podczas gdy drugie stoją bezużytecznie z bronią na ramieniu, nie mogąc nawet zdać sobie sprawy z takiej bezczynności.

Cóż robić! czekają na rozkazy!... Ba, tylko do tego, ażeby umrzeć, nie potrzeba rozkazów — setkami padają ludzie tam poza krzakami, w rowie nawprost wspaniałego

zamku. Nawet tych leżących już rozdzierają kartacze i przez otwarte rany cicho bez szmeru płynie szlachetna krew Francyi...

— Siedmnaście, ośmnaście, dziewiętnaście!...

Ledwie mogą nadążyć z markowaniem punktów. Marszałkowi brakuje tylko jednego.

Wrzawa walki coraz się zbliża. Już bomby wpadają do parku. Oto jedna błysnęła ponad wodą. Lustrzana powierzchnia pomroczyła się. Wystraszony łabędź pływa, otoczony okrwawionemi piórami. To ostatni wystrzał.

Teraz cisza zupełna. Tylko deszcz pada na młode graby, słychać szmer niewyraźny u stóp pagórka, a po przemokłej drodze coś jakby stąpanie jakiegoś stada, które się spieszy... Wojsko cofa się w rozsypce... Pan marszałek wygrał partyę...

WIDZENIE SĘDZIEGO Z KOLMARU.

Przed złożeniem przysięgi cesarzowi Wilhelmowi, nie było szczęśliwszego człowieka nad pana Dollingera, skromnego sędziego trybunału w Kolmarze, kiedy zjawił się na posiedzenie w swym birecie, nasuniętym na oczy, z

okrągłym brzuszkiem, kwitnącemi ustami i trzema podbródkami, umieszczonymi wygodnie na muślinowej kokardzie.

— A, zdrzemniemy się trochę — zdawał się mówić, zasiadając na fotelu.

Przyjemnie było patrzeć, z jaką rozkoszą wyciągał swoje tłuściutkie nogi, pogrążał się w dużym fotelu, sadowiąc się na nowiutkie, miękkie koło skórzane, któremu zawdzięczał swoją cerę świeżą i humor zawsze dobry, pomimo trzydziestu lat pracy siedzącej.

Biedny Dollinger!

To właśnie to kółko skórzane zgubiło go! Tak mu było dobrze na niem, takie wygodne miejsce wysiedział sobie na tej poduszeczce, że wolałby, zdaje się, zostać Prusakiem, niż ruszyć się ztamtąd. Cesarz Wilhelm powiedział mu:

— Siedź spokojnie, panie Dollinger.

I Dollinger siedział.

A dzisiaj, cóż — widzimy go w sądzie kolmarskim, wymierzającym sprawiedliwość w imię Cesarskiej Mości z Berlina.

Dokoła niego nic się nie zmieniło; zawsze ten sam, suchy, monotonny trybunał, ta sam a sala z połyskującemi ławkami, gołe mury, szmer adwokatów, to samo półświatło, padające z okien, przysłoniętych firankami z szarży, tuż zapylony wielki — krucyfiks z Chrystusem ze spuszczoną głową i wyciągniętemi ramionami.

Przechodząc pod pruskie panowanie, sąd kolmarski nie uległ zmianie: zawsze stoi tam w głębi posąg cesarza, ale pomimo to Dollinger czuje się jakby przeniesiony na inne

miejsce. Napróżno zasuwa się ze wściekłością w głąb fotelu; nie powrócą już miłe drzemki dawniejsze, a kiedy czasem zdarzy mu się zasnąć podczas posiedzenia, to takie straszne sny go trapią... Zdaje mu się, że jest na wysokiej górze, coś jakby na Honeck, zwanem banią Alzacyi... Cóż on tam robi sam w swem sędziowskiem ubraniu, siedząc na fotelu, na takiej wysokości, gdzie już nic nie widać prócz drzew karłowatych i rojów muszek malutkich?... Sędzia nie wie tego. On czeka drżący od zimnego potu i dręczony jakąś dusznością.

Po drugiej stronie Renu wschodzi duże czerwone słońce, a w miarę tego, jak ono się podnosi coraz wyżej, tam nisko w dolinach Thonnu i Munstru, od jednego do drugiego końca Alzacyi rozlega się jakiś głuchy szmer; słychać turkot powozów, odgłos stąpania nóg i wszystko to wzmaga się, rośnie, przybliża, a biedny Dollinger czuje, jak mu się serce ściska. Za chwilę widzi, jak po krętej drodze, po pochyłości góry zbliża się ku niemu pogrzebowy orszak nieskończenie długi — to cały naród Alzacyi postanowił zgromadzić się w tem przejściu przez Wogezy, ażeby uroczyście wyemigrować.

Na przodzie posuwają się długie wozy, zaprzężone w cztery woły, te wielkie wozy drabiniaste, które służą do przewożenia zboża podczas zbiorów, a teraz naładowane są sprzętami, trzodą, lub narzędziami pracy. Są tam ogromne łóżka, wysokie szafy, garnitury, kryte bawełnicą, ule, kołowrotki, małe dziecinne krzesełka, fotele przodków, mnóstwo starych relikwij, wyciągniętych z kątów i roztaczających teraz dokoła siebie święty kurz domowych

ognisk...

Całe domy jad ą na tych wozach. Posuwają się z jękiem, a woły ciągną je z wielkim trudem, jak gdyby ta gleba przytrzymywała koła, jakby te bryłki suchej ziemi, pozostałe w bronach, w pługach, na rydlach, na grabiach, przysparzały znacznie ciężaru i wyjazd ten robiły podobnym do zupełnego wyrwania z korzeniami. Poza tem wszystkiem podąża tłum milczący, rozmaitego stanu i wieku: od starców w trójgraniastych kapeluszach, którzy drżący opierają się na kijach, aż do małych, jasnowłosych pacholąt w barchanowych spodenkach z szelkami przez plecy; od sparaliżowanych dziadów, których dumni młodzieńcy niosą na swych barkach, aż do niemowląt, tulących się do łona swych matek — wszyscy dzielni i niedołężni, ci, którzy utworzą armię w przyszłości i ci, którzy brali udział w okropnej kampanii, kirasyerzy bez nóg, wlokący się o kuli, artylerzyści, wynędzniali, zmęczeni, w zniszczonych mundurach, na których są jeszcze ślady pleśni kazamatów w Spandau — wszyscy dumnie posuwają się drogą, przy której siedzi nasz sędzia z Kolmaru, wszystkich twarze ze wstrętem i gniewem odwracają się od niego.

Biedny Dollinger! chciałby umknąć gdzieś, schować się, ale to niepodobna! Jego fotel jest przytwierdzony do góry, skórzane kółko do fotelu, a on do skórzanego kółka. Teraz zrozumiał, ze jest tu wystawionym pod pręgierz i dlatego tak wysoko, ażeby hańbę jego zdaleka widzieć można było... A orszak się ciągle posuwa, jedna wieś za drugą. Te z nad granicy szwajcarskiej prowadzą olbrzymie trzody

owiec; inne z nad Saary ciągną wózki do przewożenia rudy mineralnej, naładowane twardemi, żelaznemi narzędziami. Za wsiami postępują miasta — cała ludność przędzalni, garbarze, tkacze, osnuwacze, mieszczanie, księża, rabini, urzędnicy w sukniach czarnych i czerwonych... A oto trybunał kolmarski ze starym prezydentem na czele. Dollinger umiera ze wstydu, chciałby ukryć twarz swoją, ale ręce ma sparaliżowane, chciałby zamknąć oczy, lecz powieki pozostają bez ruchu. Trzeba, ażeby widział i ażeby go widziano; ażeby nie stracił ani jednego pogardliwego wejrzenia swoich kolegów, rzucanego w przechodzie.

Sędzia pod pręgierzem — to coś okropnego!

Ale co go bardziej jeszcze martwi, to widok wszystkich bliskich w tym tłumie, żaden z nich nie poznaje go. Jego żona i dzieci przechodzą przed nim ze spuszczonemu głowami. Zapewne i oni wstydzą się także! Nawet ten mały Michaś, którego tak kocha, odchodzi na zawsze, nie spojrzawszy na ojca. Tylko stary prezydent zatrzymał się na chwilkę i powiedział do niego cichym głosem:

— Chodź z nami, Dollingerze, nie zostawaj tam, mój przyjacielu...

Ale Dollinger nie może powstać! Porusza się, woła, a pochód całemi godzinami posuwa się naprzód, a kiedy o zmroku już oddalił się, wszystkie piękne aleje, pełne dotąd odgłosów dzwonów i fabryk, teraz pogrążone zostały w bezdenną ciszę. Cała Alzacya wyszła. Pozostał tylko sędzia kolmarski — siedzi oto tam na wysokiej górze, przykuty nieruchomo do miejsca, wystawiony pod pręgierz...

... Nagle scena się zmieniła. Smutne ciosy, czarne

krzyże, rzędami groby i tłum w żałobie... To cmentarz w Kolmarze, to dzień wielkiego pogrzebu... W powietrzu rozlegają się tony wszystkich dzwonów w mieście. To radca Dollinger umarł. Czego nie mógł zrobić honor, tego dopełniła śmierć. Ona wyrwała ze skórzanego kółka nieruchomego urzędnika, który upierał się pozostać na swojem miejscu i powaliła nareszcie...

Nie może być okropniejszego uczucia, jak widzieć we śnie śmierć swoją i płakać nad sobą samym. Z sercem wezbranem biedny Dollinger bierze udział w swym własnym pogrzebie, a najbardziej boli go to, że w tym tłumie, który go otacza, nie widzi ani jednego przyjaciela, ani jednego krewnego. Nikogo niema z Kolmaru, sami Prusacy tylko... Żołnierze pruscy tworzą eskortę, urzędnicy pruscy kierują pogrzebem; mowy, wygłaszane na pogrzebie, są to mowy pruskie, nawet ta zimna ziemia, którą rzucają nań z góry, to ziemia pruska niestety!

Nagle tłum rozstępuje się z uszanowaniem, wspaniały kirasyer biały zbliża się do grobu. W ręku pod płaszczem trzyma on coś nakształt wieńca z nieśmiertelników. Dokoła słychać szmer:

— Bismark... Bismark...

A sędzia kolmarski myśli ze smutkiem:

— Wielki to honor dla mnie, panie hrabio, ale żeby tu był mój mały Michaś...

Nagły wybuch jakiegoś dzikiego, skandalicznego, nie dającego się niczem powstrzymać śmiechu, przerywa mu myśli...

— Go się im stało? — pyta przerażony sędzia.

Zwraca się, patrzy... To jego poduszeczkę, jego kółko skórzane składa z taką czcią na grobie hrabia Bismark. Dokoła niej widać napis:

Sędziemu Dollingerowi

gorliwemu urzędnikowi sądu wyższego,

w dowód żalu i pamięci.

Od jednego końca cmentarza do drugiego wszyscy śmieją się, kpią, a ta ogromna wesołość Prusaków przenika aż do głębi grobu, gdzie biedny umarły płacze ze wstydu, zgnębiony, wystawiony na wieczne pośmiewisko...

MAŁY SZPIEG.

Nazywał się Stenne, mały Stenne. Było to dziecię Paryża — mizerne, blade, mogące mieć dziesięć lat, albo piętnaście — u takich malców to trudno poznać. Matka jego już nie żyła; ojciec stary marynarz był stróżem skweru w dzielnicy Temple.

Wszystkie baby, niańki, stare, zgarbione kobiety, biedne matki, cała ta nędza Paryża, która szukała wytchnienia w

cieniu powozów, na tych klombach, otoczonych chodnikami — wszyscy znali i uwielbiali ojca Stenne. Wiedziano, że pod tym twardym wąsem, który był postrachem psów i włóczęgów, wysiadujących na ławkach, krył się dobry, łagodny uśmiech, prawie macierzyński, a dla wywołania tego miłego uśmiechu dość było tylko powiedzieć:

— Jak się m a wasz chłopak?

On tak kochał swego chłopca! Tak lubił, kiedy wieczorem po powrocie syna ze szkoły, chodzili razem po alejach, zatrzymując się przed ławkami dla przywitania znajomych, stałych swych gości.

Wszystko się skończyło z nastaniem oblężenia... Skwer ojca Stenne został zamknięty — zrobiono tam skład nafty. Ojciec Stenne, zmuszony do ciągłego czuwania nad nim, spędza życie w opustoszałych gęstych krzakach sam, nie mogąc palić i tylko późno w nocy widuje w domu swego syna. To też trzeba było widzieć jego wąsy, kiedy mówił o Prusakach!...

Ale mały Stenne nie uskarżał się bardzo na to nowe życie.

Oblężenie! to takie zabawne dla małych urwiszów.

Żadnych lekcyj, żadnych obowiązków! ciągłe wakacye, a na ulicy wrzawa jak na placu jarmarcznym...

Dzieciak po całych dniach do wieczora biegał po dworze. Towarzyszył oddziałom, idącym na wały, wybierając zawsze te, które miały lepszą muzykę. O, na tem mały Stenne znał się doskonale! Wybornie wiedział, że 96-go batalionu muzyka była niewiele warta, za to 55-ty

miał znakomitą. Czasem przyglądał się ćwiczeniom wojskowym, a poza tem był jeszcze tłum uliczny... Z koszyczkiem swym pod pachą przyłączał się do tych długich szeregów, tworzących się w cieniu zimowego poranka, nie oświetlonego nawet gazem latarni, pod ogrodzeniem jakiejś piekarni, lub rzeźni. Tam, brocząc po wodzie, robiono znajomości i rozprawiano o polityce, a każdy chciał słyszeć zdanie syna pana Stenne. Ale najweselej było w szynkowniach przy grze w k a l o s z e, którą żywi Bretończycy wprowadzili w modę podczas oblężenia. Jeżeli mały Stenne nie był na wałach, albo w piekarniach, można go było na pewno znaleźć gdzieś na placu Chateau d'Eau, przypatrującego się grze. Sam nie grał, naturalnie, bo na to trzeba dużo pieniędzy. Zadawalniał się tylko bacznem przyglądaniem się grającym.

Jeden szczególniej z graczów, wysoki chłopak w niebieskiej kurtce, który nigdy nie stawiał mniej nad sto s o u s (5 franków), obudzał jego zachwyt. Podczas biegu tego chłopaka, słychać było, jak mu pieniądze brzęczały w kieszeniach.

Pewnego dnia, kiedy mały Stenne podniósł mu monetę, która potoczyła się pod jego nogi, ten rzekł cichym głosem:

— Zerkasz na to zazdrosnem okiem, co? chcesz, to cię nauczę, zkąd to się bierze.

Po skończeniu partyi, zaprowadził malca w odległy kąt placu i zaproponował iść z nim razem sprzedawać gazety Prusakom, gdyż jak powiadał, za jednę taką podróż zarabia się 30 franków. Stenne oburzony odmówił swego udziału i

przez trzy dni nie przychodził patrzeć na grę. Trzy okropne dni! Nie mógł nic jeść, ani spać przez ten czas. Podczas nocy widział zawsze stosy kaloszy obok swego łóżka i mnóstwo błyszczących, złotych pięciofrankówek. Pokusa była zbyt wielką. Czwartego dnia wrócił na plac Chateau d'Eau, spotkał się z owym drabem i uległ...

Pewnego śnieżnego poranku wyruszyli obaj z torbami płóciennemi na plecach, ukrywszy dzienniki pod bluzy. Kiedy przybyli do bramy flandryjskiej, zaledwie dzień się zaczynał. Drab wziął Stenne'a za rękę i podszedłszy do szyldwacha, dzielnego Sedańczyka z czerwonym nosem i dobrym wyrazem twarzy, powiedział zbiedzonym głosem:

— Mój dobry panie, pozwól nam przejść... Matka nasza chora, ojciec umarł. Chcemy z moim bratem uzbierać trochę kartofli w polu.

Zaczął płakać. Stenne, zawstydzony, spuścił głowę. Szyldwach popatrzył na nich chwilkę, rzucił okiem na pustą, białą drogę i powiedział odchodząc:

— Przechodźcie prędko.

I oto są już na drodze do Aubervillers...

Starszy zaczął się śmiać.

Cały zmieszany, jakby we śnie jakim, mały Stenne widział fabryki, przemienione w koszary, opuszczone barykady ze zmoczonemi szmatami dokoła, wysokie pod niebo kominy, przebijające mgłą gęstą, teraz puste, poszczerbione. Tylko gdzieniegdzie ścieżynka, oficerowie zakapturzeni, badający przez lornetki widnokrąg, lub małe namioty, zasypane śniegiem, topniejącym od ognisk nawpół wygasłych. Towarzysz jego znał dobrze drogę, szedł więc

przez pola, ażeby ominąć straże. Jednakże nie udało im się ich uniknąć, kiedy przechodzili obok jednej wielkiej strażnicy wolnych strzelców. Przykucnąwszy w rowie, pełnym wody, w swoich krótkich opończach, siedzieli oni wzdłuż całej kolei, prowadzącej do Soissons. Pomimo jednak, że starszy opowiedział znowu swoją historyę, nie chciano ich puścić. Kiedy głośno lamentował, z domku strażackiego wyszedł stary sierżant, zupełnie siwy, z twarzą pomarszczoną, podobny do ojca Stenne.

— Cicho malcy, nie płaczcie — powiedział do dzieci — puszczą was po te wasze kartofle; ale pierwej wejdźcie tu rozgrzać się... Ten mały pędrak zupełnie zmarznięty!\

Niestety! to nie z zimna drżał tak mały Stenne, lecz ze strachu, ze wstydu...

Wszedłszy do wnętrza strażnicy, ujrzeli kilku żołnierzy, skupionych dokoła nędznego ogniska, przy którem rozmrażali sobie suchary, ponatykane na końce bagnetów. Ścisnęli się, żeby zrobić miejsce dzieciom, potem dali im trochę kawy. Podczas kiedy chłopcy posilali się, ukazał się we drzwiach jakiś oficer, odwołał sierżanta, porozmawiał z nim coś cicho i prędko odszedł.

— Chłopcy! — zawołał rozpromieniony sierżant — damy im pieprzu dziś w nocy...

Przejęto hasło Prusaków.

— Myślę, ze tym razem uda nam się odebrać im to przeklęte Bourget!

Nastąpił wybuch ogólnej radości, śmiechu. Żołnierze zaczęli śpiewać, tańczyć, czyścić i ostrzyć bagnety i szable.

Korzystając z zamieszania, dzieci wyszły.

Poza okopem była już tylko równina, a w oddali biały mur, upstrzony czarnymi otworami strzelnic. Do tego muru właśnie zdążali obaj powoli, schylając się co chwila niby dla zbierania kartofli.

— Wróćmy, nie idźmy tam... — powtarzał ciągle mały Stenne.

Ale starszy ściskał tylko ramionami i szedł dalej. Nagle usłyszeli trzask nabijanego karabinu.

— Połóż się krzyknął starszy, rzucając się na ziemię.

Leżąc już, gwizdnął. Drugie gwizdnięcie gdzieś nisko na śniegu, odpowiedziało mu.

Posuwali się dalej, czołgając się. Przed murem tuż nad ziemią ukazała się głowa z żółtymi wąsami w brudnej czapce. Starszy chłopiec skoczył do rowu tuż obok Prusaka.

— To mój brat — rzekł, wskazując na swego towarzysza.

Stenne był tak malutki, że Prusak roześmiał się, patrząc na niego i musiał go wziąć na ręce, chcąc przesadzić przez wyłom.

Po drugiej stronie muru znajdowała się wielka równina, a na niej pościnane drzewa i czarne jamy w śniegu.

Z każdej takiej jamy wyglądała taka sama zniszczona czapka i żółte wąsy, które się śmiały na widok idących dzieci.

W jednym z kątów tej równiny znajdował się domek ogrodniczy, zabezpieczony od pocisków pniami drzew. Na dole siedzieli żołnierze i grali w karty. Niektórzy zajęci byli gotowaniem zupy przy dużym, jasnym ogniu. Rozchodził się przyjemny zapach kapusty i słoniny. Cóż za różnica z

biwakiem wolnych strzelców! Na górze mieszkali oficerowie. Ztamtąd słychać było grę na fortepianie i odkorkowywanie butelek z szampanem.

Kiedy weszli nasi Paryżanie, spotkał ich jeden okrzyk radości. Oddali swoje dzienniki, poczem dano im napić się i wyciągano na rozmowę. Wszyscy oficerowie tu zebrani mieli jakieś złe, harde miny. Ale drągal rozbawił ich swoją swadą ordynarną, swoim słownikiem łobuza. Śmiano się, powtarzano jego wyrazy, nurzano się z rozkoszą w tem błocie Paryża, którem ich częstował...

Mały Stenne chciał także mówić, aby dowieść, że nie jest głupcem, ale nie mógł — coś go wstrzymywało. Nawprost niego, trochę na uboczu, siedział jakiś Prusak, starszy i poważniejszy niż inni, i czytał, a raczej udawał, że czyta, bo patrzył ciągle na chłopca. We wzroku tym widać było jakąś czułość i jakby wyrzut — może tam w kraju zostawił także syna w tym wieku, bo zdawał się mówić:

— Wolałbym umrzeć, niż żebym miał widzieć mego syna zajmującym się takiem rzemiosłem...

Od tej chwili Stenne uczuł, jakby jakaś ręka nacisnęła mu serce i wstrzymała jego bicie. Słyszał niewyraźnie, jak pośród ogólnego śmiechu towarzysz jego kpił ze swojej gwardyi narodowej, wyśmiewał sposób odbywania ćwiczeń, naśladował musztry w Mazais, alarm nocny na wałach... W końcu zniżył głos. Oficerowie zbliżyli się do niego i twarze ich spoważniały. Nędznik! zaczął opowiadać o projektowanym napadzie wolnych strzelców!

W jednej chwili mały Stenne zerwał się rozzłoszczony.

— Nie mów tego... ja nie chcę!...

Ale tam ten uśmiechnął się tylko i ciągnął dalej. Zanim jeszcze skończył, już wszyscy oficerowie byli na nogach. Jeden z nich pokazał drzwi dzieciom i powiedział:

— Wynoście się!

Zaczęli rozmawiać coś prędko między sobą po niemiecku. Drągal wyszedł dumny jak doża, pobrzękując pieniędzmi. Mały Stenne szedł za nim ze spuszczoną głową, a kiedy przechodził koło Prusaka, którego widok tak go mieszał, usłyszał cichy szept:

— To niełądnie... to niełądnie...

Gdy to usłyszał, oczy napełniły mu się łzami.

Znalazłszy się na równinie, dzieci poczęły biedź i prędko powróciły do swoich. Worki ich były napełnione kartoflami, w które zaopatrzyli ich Prusacy; w ten sposób bez przeszkód doszli do okopów wolnych strzelców. Tu robiono przygotowania do nocnego ataku. W milczeniu przybywały oddziały i lokowały się pod murami. Stary sierżant z wyrazem szczęścia na twarzy zajęty był rozmieszczaniem swoich ludzi. Kiedy dzieci przechodziły, poznał je i uśmiechnął się do nich życzliwie.

O jakże zabolał ten uśmiech małego Stenne’a! była chwila, że chciał krzyknąć:

— Nie idźcie tam... zdradziliśmy was...

Ale towarzysz wstrzymał go.

— Jeżeli powiesz, rozstrzelają nas.

Biedny mały przestraszył się i nie powiedział...

W Courneuve weszli do jakiegoś opuszczonego domku, chcąc podzielić się pieniędzmi. Sprawiedliwość każe mi wyznać, że podział był zrobiony zupełnie uczciwie, a mały

słysząc przyjemny brzęk tych pięknych monet w kieszeni swojej bluzy i myśląc o grze w k a l o s z e, którą miał w perspektywie, coraz bardziej się uspakajał, coraz mniej straszną wydawała mu się popełniona zbrodnia.

Ale kiedy zostało samem nieszczęśliwe dziecko — kiedy, minąwszy bramy, pożegnał się z drągalem, kieszenie zaczynały mu coraz bardziej ciężyć, a ta ręka niewidzialna, co mu tak serce ściskała, teraz ścisnęła je silniej, niż kiedykolwiek. Paryż wydawał mu się zupełnie innym, a przechodnie patrzyli nań tak jakoś surowo, jakby wiedzieli, zkąd wraca. W turkocie kół, w uderzeniach bębna, rozlegających się wzdłuż kanału, słyszał jeden wyraz: »szpieg«.

Nareszcie przybył do domu i uszczęśliwiony, że ojca jeszcze nie było, wszedł prędko do pokoju i schował pieniądze pod poduszkę.

Nigdy ojciec Stenne nie był tak dobrym, tak wesołym, jak dziś wieczorem, wróciwszy do domu. Posilając się czemś, spoglądał ciągle na karabin, zawieszony na ścianie, i mówił do dziecka z dobrym uśmiechem:

— Ha, chłopcze, jakbyś to ty poszedł na Prusaka, żebyś już był dużym!

Około ósmej godziny usłyszano wystrzał armatni.

— To Aubervilliers... biją się w Bourget... — mówił poczciwy stary, który znał wszystkie warownie doskonale.

Mały Stenne pobladł i powiedziawszy, że jest bardzo zmęczonym, poszedł się położyć, ale zasnąć nie mógł.

Wystrzały armatnie huczały bez przerwy.

Wyobrażał sobie, jak wolni strzelcy skradają się po nocy

do Prusaków i sami w padają w zasadzkę. Przypomniał sierżanta, który się tak uśmiechał życzliwie i wyobrażał go sobie rozciągniętym tam na śniegu... jego i tylu innych...

A zapłata za tę krew leży tu, u niego, pod poduszką, i to on, syn pana Stenne, dzielnego żołnierza... Łzy go dławiły. Słyszał, jak w przyległym pokoju ojciec chodził niespokojnym krokiem, otwierał okno. A tam na placu rozlegała się pobudka, jakiś batalion gwardyi ruchomej gotował się do odejścia. Oczywista więc była tam wielka bitwa... Nieszczęśliwe dziecko nie mogło powstrzymać łkań.

— Co ci jest? — zapytał ojciec Stenne, wchodząc.

W tedy biedny chłopak wyskoczył z łóżka i upadł do nóg ojcu. Od silnego poruszenia pościeli pieniądze wysypały się na podłogę. Mały Stenne jednym tchem opowiedział, że był u Prusaków i co tam robił. W miarę jak mówił, uczuwał swobodniejsze bicie serca, oskarżanie się przynosiło mu ulgę... Ojciec Stenne słuchał go z okropnym wyrazem twarzy. Kiedy mały skończył opowiadanie, biedny starzec zakrył twarz rękami i zaczął płakać.

— Ojcze, ojcze... — wołało dziecko.

Stary odepchnął go, nie odpowiedziawszy nic, i zgarnął pieniądze.

— Czy to wszystko? — zapytał.

Mały Stenne dał znak potwierdzający.

Stary zdjął ze ściany karabin, ładownicę i włożywszy pieniądze do kieszeni, powiedział:

— Dobrze, pójdę im oddać je...

I nie dodawszy więcej ani słowa, nie odwracając głowy,

poszedł połączyć się z armią, mającą wyruszyć tej nocy. Od tego czasu nie widziano go więcej...

MATKA

WSPOMNIENIE Z CZASÓW OBLĘŻENIA.

Pewnego dnia wybrałem się do fortu Mont-Valerien odwiedzić mego przyjaciela, malarza B..., porucznika w gwardyi ruchomej departamentu Sekwany. Właśnie dzielny ów chłopak był na warcie i nie mógł za nic w świecie ruszyć się z miejsca. Jak majtek na służbie musiał ciągle chodzić przed galeryą podziemną fortu, rozmawiając o Paryżu, o wojnie i o naszych ukochanych nieobecnych.

Nagle mój porucznik, który w mundurze żołnierskim pozostał zawsze malarzem w duszy, przerywa, zatrzymuje się, chwyta mnie za ramiona i woła cichym głosem:

— Co za piękne typy! jakby z obrazu Daumier’a.

Tu oczami, które mu się zaiskrzyły, jak u psa myśliwskiego, wskazał mi dwie sylwetki, ukazujące się właśnie na płaszczyźnie pagórka.

— Piękne typy, rzeczywiście. Mężczyzna w kasztanowego koloru surducie z zielonym aksamitnym kołnierzem, jakby zrobionym z mchu drzewnego, szczupły,

mały, czerwony jak rydz, z czołem płaskiem, okrągłemi oczyma i nosem w kształcie sowiego dzioba, istna głowa ptasia z twarzą pomarszczoną, uroczystą i głupkowatą. W jednej ręce niósł torbę, wyszywaną w kwiaty, z której wyglądała szyjka butelki, pod pachą zaś puszkę z jakiemiś konserwami, sławną puszkę z białej blachy, na którą Paryżanie nie mogą patrzeć, ażeby nie przypomnieć sobie pięciomiesięcznego oblężenia... Kobieta zwracała uwagę najprzód olbrzymim kapeluszem w kształcie budy; miała na sobie stary szal, który przykrywał ją obciśle od stóp do głowy, uwydatniając w całości jej chudość; z pomiędzy zmiętych ozdób kapelusza wyglądał koniec nosa i kilka nędznych kosmyków siwiejących włosów. Wszedłszy na płaszczyznę, mężczyzna zatrzymał się, ażeby trochę odetchnąć i obetrzeć czoło. Nie było wcale gorąco tu na górze w mglistem powietrzu listopadowem, ale oni szli tak prędko...

Kobieta nie zatrzymała się wcale. Idąc prosto ku galeryi, popatrzyła chwilkę na nas z pewnem wahaniem, jakby chcąc się o coś pytać; ale onieśmielona widocznie oficerskimi galonami, wolała zwrócić się do szyldwacha i usłyszałem, jak bojaźliwym głosem spytała, czy może widzieć się ze swym synem, żołnierzem trzeciego batalionu, szóstej brygady gwardyi ruchomej paryskiej.

— Pozostańcie tu — powiedział żołnierz — pójdę, zawołam go.

Uszczęśliwiona, westchnęła tem westchnieniem, które przynosi ulgę, i zwróciła się do męża. — Odeszli oboje i usiedli na uboczu na skraju pochyłości.

Czekali tam dość długo. Fort Mont-Valerien jest tak wielki, składa się z tylu dziedzińców, szańców, baszt, koszar, kazamatów! I jak tu szukać jakiegoś tam żołnierza z trzeciego batalionu szóstej brygady w tem mieście bez końca, zawieszonem pomiędzy niebem i ziemią, wznoszącem się ślimakowato wpośród chmur, jak wyspa Laputa. Prócz tego o tej porze w twierdzy wciąż słychać odgłosy bębna, trąbki, kroki biegnących żołnierzy, brzęk konewek... Zmieniają się straże, wyznaczają roboty, rozdają pożywienie; oto wolni strzelcy pędzą uderzeniami kolb jakiegoś szpiega, tam wieśniacy z Nanterre przyszli do generała na skargę, jakaś sztafeta wpada galopem — człowiek znużony, koń cały spocony; z przednich straży przywożą rannych, którzy leżąc w koszach na mułach, jęczą żałośnie, jak chore jagnięta; majtkowie ciągną na linach nową armatę przy dźwiękach fletu i okrzykach: »hissa! ha!«; pasterz w czerwonych spodniach z karabinem na skórzanym pasie przez ramię, z prętem w ręku, pędzi stado forteczne. Wszystko to idzie, krzyżuje się, wpada do lochów i ginie, jak za niską bramą karawanseraju na Wschodzie.

— Żeby przynajmniej nie zapomnieli o moim chłopcu: — mówiły tymczasem oczy biednej matki, która co pięć minut wstawała, zbliżała się dyskretnie do bramy wchodowej, rzucała bojaźliwe wejrzenia na małe podwórko, przytulając się do muru, ale nie zapytywała o nic nikogo, bojąc się ośmieszyć dziecko. — Mężczyzna jeszcze bardziej bojaźliwy, nie ruszał się z miejsca; za każdym razem, kiedy matka powracała ze swej wędrówki, łajał ją za

niecierpliwość, tłómaczył obowiązki służby, gestykulując przytem mocno, jak niedołęga, który chce, żeby go usłuchano.

Zawsze byłem bardzo ciekawy tych małych scen milczących i poufnych, które się odgaduje więcej niż widzi, tej pantominy ulicznej, która was potrąca, gdy idziecie, i czasem jednem poruszeniem odsłania całe nowe istnienie. Ale co tutaj mnie najbardziej pociągało, to pewna jakaś niezręczność, pewna naiwność tych dwojga ludzi i doznawałem prawdziwego wzruszenia, kiedy z ich mimiki wyrazistej i jasnej, jak dusze dwóch aktorów Serafina, mogłem sobie wysnuć cały przecudowny dramat rodzinny...

Zdawało mi się, że widzę matkę, która mówi pewnego pięknego poranku:

— Ten pan Trochu nudzi mnie tymi swymi zakazami. Już trzy miesięce nie widziałam mego dziecka... muszę pójść, ażeby go uścisnąć.

Ojciec, człowiek bojaźliwy, prosty, przerażony myślą o trudnościach, jakie trzeba będzie przezwyciężyć, ażeby wyrobić pozwolenie, próbował odciągnąć ją od tego zamiaru.

— Mój aniele, nie myślisz o tem, że ten fort Mont-Valerien jest dyabelnie daleko... Jakże dobierzemy się tam bez powozu? Zresztą jest to przecież cytadela i kobiety nie mogą tam wchodzić.

— Ja wejdę — powiedziała matka, a ponieważ robił zawsze wszystko, co chciała i teraz więc wziął się do dzieła...

Poszedł do sekcyi, do merostwa, do głównego sztabu, do

komisarza, pocił się ze strachu, drżał z zimna, pukał do wszystkich drzwi, nie trafiając często odrazu tam, gdzie potrzeba, wyczekiwał po dwie godziny w jakiemś biurze, które, jak się okazywało, nie było właściwem. Nareszcie wrócił wieczorem do domu, z pozwoleniem gubernatora w kieszeni... Na drugi dzień wstali raniutko, przy lampie, drżąc z zimna. Ojciec przegryzł jakiś kąsek, ażeby się rozgrzać, matka nie czuje głodu... Ona woli zjeść śniadanie tam z synem... Ażeby uraczyć trochę biednego żołnierza, wkłada do worka wszystko, co tylko można mieć podczas oblężenia: czekoladę, konfitury, wino w zapieczętowanej butelce, wszystko, nawet puszkę, za którą zapłacono ośm franków i którą starannie chowano na czas największego głodu. W końcu udali się w drogę. Kiedy przybyli do szańców, zaledwie otwierano bramy. Trzeba było pokazać pozwolenie. Tu matka była więcej wystraszona. Ale nic! zdaje się, że wszystko w porządku...

— Puśćcie ich, niech przejdą — powiedział dyżurny adjutant.

Wtedy dopiero odetchnęła.

— Bardzo grzeczny ten oficer.

Lekkim kroczkiem, jak młoda kuropatwa, prędko śpieszy naprzód. Mężczyzna zaledwo może zdążyć za nią.

— Moja droga, nie idź tak prędko...

Ale ona nie słyszy go. Tam wysoko, widniejące zdała wzgórze Valerien wabi ją ku sobie:

— Chodź prędzej... on jest tu...

Kiedy przybyli, nowy niepokój ich trapi.

A nuż go nie znajdą... a może nie będzie mógł przyjść...

Nagle ujrzałem, jak drgnęła, uderzyła po ramieniu starego i zerwała się jednym susem.

Zdaleka pod sklepieniem podziemnej galeryi rozpoznała kroki syna.

— To on!

Kiedy się ukazał, cały front twierdzy jakby się rozjaśnił.

Ładny chłopak, aż miło! pięknie zbudowany, z bronią na ramieniu i tornistrem na plecach. Zbliżył się do rodziców z twarzą otwartą i głosem męskim, wesołym zawołał:

— Dzień dobry, mamo!

Za chwilę płaszcz, tornister, karabin, wszystko znikło pod dużemi rondami matczynego kapelusza. Potem przyszła kolej na ojca, ale to już trwało daleko krócej. Wielki kapelusz z rondami chciał wszystko dla siebie zabrać... Był nienasycony...

— Jakże się masz? Czy dobrze jesteś ubrany?... A jakże z bielizną?

Czułem, jak z pod skrzydeł kapelusza obrzucała go od stóp do głowy długiemi wejrzeniami, pełnemi miłości, wpośród deszczu pocałunków, łez i uśmiechów: oddawała mu cały zapas macierzyńskiego uczucia, jaki się nagromadził w ciągu tych trzech miesięcy. Ojciec był także bardzo wzruszony, ale nie chciał tego okazywać. Widział, że patrzymy na niego i mrugał oczami w naszą stronę, jakby chciał powiedzieć:

— Wybaczcie jej, to kobieta...

Czy ja jej wybaczałem!

Nagle dźwięk trąbki zdmuchnął tę radość jasną.

— Wołają... muszę odejść...

— Jakto! nie zjesz z nami śniadania?

— Ależ gdzie tam! nie mogę!... Idę na wartę przez dwadzieścia cztery godziny na samym szczycie twierdzy.

— Oh! — jęknęła biedna matka, nie mogąc powiedzieć nic nadto.

Przez kilka minut wszystko troje pozostali nieruchomi, patrząc na siebie wzrokiem przerażenia. Wkońcu ojciec pierwszy przerwał milczenie:

— Przynajmniej zabierz ze sobą tę puszkę — powiedział rozdzierającym głosem, w którym czuć było silne uczucie i komiczną boleść żarłoka z powodu wyrzeczenia się smacznego kąska.

Ale pod wpływem jakiejś trwogi i wzruszenia nie mogli znaleźć tej obrzydłej puszki; litość brała patrzeć na te drżące gorączkowo ręce, które się szybko poruszały, szukając jej, słyszeć te głosy, przerywane łzami: puszka! gdzież ta puszka! — nie wstydzono się dołączyć tego drobnego szczegółu gospodarskiego do swej wielkiej boleści. Puszkę wkońcu znaleziono, jeszcze jeden ostatni uścisk i dziecko pędem pobiegło do fortu.

Biedacy! przyszli z tak daleka na to śniadanie! było to dla nich taką rozkoszą; całą noc matka spać nie mogła, myśląc o tem, i czy może być coś bardziej wzruszającego, jak ten zawód straszny, ten skrawek raju, który im się otworzył i zamknął tak brutalnie!...

Jeszcze kilka chwil nieruchomi pozostali na tem samem miejscu, z oczami utkwionemi w ten loch podziemny, gdzie dziecko ich znikło. — Nareszcie mężczyzna w strząsnął się, zawrócił, kaszlnął parę razy dla dodania sobie odwagi i

powiedział pewnym głosem:

— Chodźmy matko! w drogę!

Powiedziawszy to głosem pewnym, zuchwałym, złożył nam głęboki ukłon i ujął żonę pod ramię... Patrzyłem za nimi aż do zakrętu drogi. Ojciec miał wściekłą minę. Jakimś desperackim ruchem machał torbą... Matka wydawała się spokojniejszą. Postępowała obok męża z głową spuszczoną, z rękami obwisłemi. Ale od czasu do czasu szal, okrywający jej wązkie ramiona, drżał konwulsyjnie...

OBLĘŻENIE BERLINA.

Szliśmy ulicą z Pól Elizejskich z doktorem V..., ucząc się z murów podziurawionych granatami, z chodników zdruzgotanych kartaczami historyi oblężenia Paryża, kiedy, nie dochodząc do Placu Gwiazdy, doktor zatrzymał się i powiedział, ukazując na jeden z olbrzymich domów ustronnych, grupujących się wspaniale dokoła Łuku Tryumfalnego.

— Widzisz pan te cztery zamknięte okna, wychodzące na balkon? W pierwszych dniach sierpnia, tego okropnego miesiąca sierpnia roku zeszłego, obfitującego w burze i klęski, byłem wezwany tam z powodu ataku

apoplektycznego, któremu uległ pułkownik Jouve, kirasyer pierwszego cesarstwa, starzec, przejęty wspomnieniami sławy i patryotyzmem.

Skoro zaczęła się wojna, zamieszkał umyślnie w tym apartamencie z balkonem...

Zgadnij pan, dlaczego? Oto, ażeby być widzem tryumfalnego pochodu powracających wojsk naszych... Biedny stary! Wiadomość o Wissemburgu doszła go, kiedy właśnie wstawał od stołu. Wyczytawszy nazwisko Napoleona u dołu tego zawiadomienia o porażce, upadł rażony apopleksyą.

Znalazłem starego kirasyera rozciągniętego w całej długości na dywanie, z twarzą nieruchomą, nabiegłą krwią, jak gdyby otrzymał uderzenie maczugi w głowę. Stojący musiał być bardzo wysokim, leżący wydawał się olbrzymem. Miał piękne rysy, pyszne zęby, wspaniałą białą czuprynę na głowie i ośmdziesiąt lat, chociaż wyglądał na sześćdziesiąt.

Przy nim klęczała jego wnuczka, cała we łzach. Istny portret dziadka. Podobni byli do dwóch medali greckich z tego samego modelu, tylko jeden stary, przyćmiony, z zatartym i już nieco konturami, a drugi jaśniejący, czysty, w całym blasku i gładkości nowego odbicia. Boleść tego dziecka wzruszyła mnie. Ta córka i wnuczka żołnierzy, bo ojciec jej był w sztabie Mac-Mahona, patrząc na twarz starca, rozciągniętego przed nią, przedstawiała sobie w wyobraźni inną, niemniej okropną scenę. Uspokajałem ją jak mogłem, ale w głębi duszy mało miałem nadziei. Mieliśmy do czynienia z pięknem typowem porażeniem

paralitycznem, a w ośmdziesięciu latach rzadko się z tego wychodzi. W ciągu trzech dni chory rzeczywiście pozostawał w tym samym stanie osłabienia i nieruchomości.

Tymczasem przyszły do Paryża wieści z pod Reischoffen. Pamiętasz pan, jakie to było dziwne? Aż do samego wieczora wszyscy byliśmy pewni wielkiej wygranej: dwadzieścia tysięcy Prusaków zabitych, następca tronu wzięty do niewoli. Nie wiem już, jakim cudem, jakim prądem magnetycznym echo tej radości narodowej doszło do łoża naszego biednego głuchoniemego paralityka; dość, że przyszedłszy tego wieczora, znalazłem jakby zgoła innego człowieka. Oczy miał prawie zupełnie czyste, język mógł się poruszać. Miał siłę uśmiechnąć się do mnie i nawet dwa razy wybełkotał:

— Zwy-cię-stwo!...

— Tak, pułkowniku, wielkie zwycięstwo!...

I w miarę tego, jak opowiadałem szczegóły powodzenia Mac-Mahona, twarz jego rozjaśniała się, rysy stawały się mniej wyprężonymi.

Wyszedłszy, spotkałem się z wnuczką. Zanosząc się od płaczu, bardzo blada, czekała na mnie we drzwiach.

— Ależ on będzie uratowanym — powiedziałem, biorąc ją za ręce.

Biedne dziecko z trudnością mogło mi odpowiedzieć. Ogłoszono, co się stało naprawdę w Reischoffen, ucieczkę Mac-Mahona, rozbicie całej armii... Spoglądaliśmy na siebie przerażeni. Ona rozpaczała, myśląc o ojcu — ja drżałem na myśl o starcu. Było pewnem, ze tego drugiego

ciosu nie wytrzyma.

Co tu począć? Pozostawić mu jego radość, złudzenia, które powróciły go do życia... ale wtedy trzeba kłamać...

— Dobrze więc, będę kłamała — powiedziała bohaterska dziewczyna, ocierając łzy, i już cała promieniejąca, weszła do pokoju dziadka.

Ciężkiem było zadanie, które wzięła na siebie!

W pierwszych dniach szło jeszcze łatwiej, ponieważ starzec miał osłabioną głowę i dawał się oszukiwać, jak dziecko. Ale z powrotem do zdrowia, wracała też coraz większa jasność myśli. Trzeba było udzielać mu wiadomości o każdym ruchu armii, redagować biuletyny wojskowe. Litość brała patrzeć na to śliczne dziecko, schylone po całych dniach i nocach nad mapą Niemiec, starające się wymyślić całą wspaniałą kampanię, pełną chwały: Bazaine w Berlinie, Froissort w Bawaryi, Mac-Mahon nad Bałtykiem. We wszystkiem zasięgała mojej rady, ułatwiałem jej jak mogłem; ale głównie sam dziadek dopomagał nam w tych zmyśleniach. Tyle razy zwyciężał Niemców za czasów pierwszego cesarstwa! Wiedział naprzód o każdym ruchu wojska: »teraz udadzą się tam... teraz zrobią to i to« — te jego przewidywania sprawdzały się zawsze, co go wprawiało w dumę.

Na nieszczęście zdobywaliśmy miasta, wygrywaliśmy bitwy, ale wszystko to szło jeszcze zbyt powolnie dla niego. Starzec był nienasyconym. Codziennie, przyszedłszy tam, dowiadywałem się o nowym jakimś walecznym czynie armii.

— Doktorze, zdobyliśmy dziś Moguncyę — mówiła mi

młoda dziewczyna, wychodząc na moje spotkanie z bolesnym uśmiechem na ustach, a z poza drzwi dochodził mnie pełen radości głos dziadka:

— Nieźle idzie, nieźle idzie... za ośm dni wejdziemy do Berlina.

Właśnie w tej samej, chwili Prusacy znajdowali się w odległości ośmiu marszów od Paryża. Naradzaliśmy się, czy nie lepiej byłoby wywieźć go na prowincyę; ale przecież poza miastem, stan, w jakim znajdowała się Francya, odkryje mu całą prawdę, a zresztą znajdowałem go jeszcze zanadto słabym, zanadto ociężałym po tem silnem wstrząśnieniu, jakie przeszedł, ażeby mu odejmować złudzenie, postanowiliśmy więc pozostawić go na miejscu.

Pamiętam pierwszego dnia oblężenia poszedłem do nich bardzo wzruszony, z boleścią w sercu, jakiej doznawaliśmy wszyscy na widok zamkniętych bram Paryża, toczącej się bitwy pod murami, kiedy najbliższe rogatki stały się dla nas granicą...

Znalazłem poczciwego staruszka na łóżku, był rozradowany i dumny.

— No cóż? zaczęliśmy już raz przecie to oblężenie!

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Jakto, pułkowniku, wiesz?

Wnuczka pośpiesznie zwróciła się do mnie.

— O tak, doktorze, ogromna nowina... Oblężenie Berlina już rozpoczęte.

Mówiła to głosem zupełnie spokojnym, pewnym, nie przerywając swego szycia.

Jakże więc mógł wątpić o czemś? Wystrzałów armatnich

z twierdz słyszeć nie mógł. Nie mógł też widzieć nieszczęśliwego, wzburzonego Paryża. Z łóżka swego widział tylko część Łuku Tryumfalnego, a w pokoju, który zajmował, był istny skład rozmaitych sprzętów i pamiątek z czasów pierwszego cesarstwa, umyślnie, jakby dla podtrzymania jego złudzeń. Portrety marszałków, obrazy przedstawiające bitwy, król rzymski w sukience dziecinnej; sztywne konsole, ozdobione rozmaitemi trofeami z miedzi, dźwigające na sobie przeróżne relikwie z czasów cesarstwa, medale, bronzy, skała św. Heleny pod klasztorem, miniatury, przedstawiające jednę i tę samą damę ufryzowaną, w stroju balowym, w żółtej sukni z bufiastymi rękawami i jasnemi oczami — wszystko to: konsole, król rzymski, marszałkowie, damy żółte z krótkimi stanikami i szerokimi paskami, zachowało tę sztywność, która uchodziła za wdzięk w 1806 roku... Dzielny pułkowniku! to ta atmosfera zwycięstw i powodzenia, więcej, niż wszystko cośmy robili, dopomagała ci wierzyć tak naiwnie w owo oblężenie Berlina!

Od tego dnia nasze operacye wojskowe stawały się coraz trudniejszemi. Do zdobycia Berlina trzeba było teraz czegoś więcej, niż cierpliwości. Od czasu do czasu, kiedy stary nudził się bardzo, odczytywano mu list od syna, naturalnie zmyślony, ponieważ nic teraz nie mogło się przedostać do Paryża, a po bitwie pod Sedanem adjutant Mac-Mahona był wysłany do pewnej fortecy w Niemczech. Można sobie wyobrazić rozpacz tego dziecka: nie mając od ojca żadnej wiadomości, przypuszczała, że jest uwięziony, chory może, a w listach, układanych dla dziadka, po żołniersku krótkich

co prawda, czytała same wesołe nowiny o posuwaniu się ciągle naprzód w kraju zawojowanym. Czasami brakowało jej sił, wtedy przez kilka tygodni pozostawaliśmy bez wiadomości. Lecz kiedy stary zaczynał niepokoić się, nie sypiał, wtedy przychodził list z Niemiec, który pośpiesznie odczytywała przy jego łóżku tonem wesołym, wstrzymując się od łkań.

Pułkownik słuchał z religijnem skupieniem ducha, uśmiechał się porozumiewająco, przytakiwał, krytykował, tłómaczył nam ruchy wojsk trochę niejasne. Ale najwspanialszym był w swoich odpowiedziach, posyłanych synowi.

»...Nie zapominaj nigdy, że jesteś Francuzem — pisał mu — bądź wspaniałomyślnym dla tych nieszczęsnych ludzi, nie rób im zbyt ciężkim naszego najazdu...« Dalej następowały rozmaite nauki bez końca, przepyszne kazania na temat poszanowania cudzej własności, należnej damom grzeczności — prawdziwy kodeks honoru wojskowego w stosunku do zwyciężonych. Do tego dołączał też kilka uwag politycznych, warunki pokoju, jakie trzeba postawić zwyciężonym. W tym względzie zresztą, nie był bardzo wymagającym:

— Wynagrodzenie strat wojennych i na tem koniec... Po co zabierać im prowincye?... Czyż można z Niemiec zrobić Francyę?...

Dyktował to głosem pewnym i tyle szczerości serca, tyle wiary patryotycznej miały te słowa, że słuchając ich trudno było nie być wzruszonym.

Tymczasem oblężenie posuwało się coraz dalej, ale nie

to oblężenie Berlina niestety! Były to chwile wielkiego zimna, bombardowania, epidemii, głodu. — Dzięki naszym staraniom, naszym wysiłkom, niezmordowanej czułości, która się coraz bardziej zwiększała dokoła niego, spokój starca nie był niczem zamącony. Aż do samego końca mogłem mu dostarczać białego chleba i mięsa. Naturalnie było to tylko dla niego i nie możesz pan sobie przedstawić nic bardziej wzruszającego, jak te śniadania dziadka, tak niewinnie egoistycznego. Stary siedzi na łóżku rozpromieniony, śmiejący się, z serwetką zawiązaną pod brodą, obok niego wnuczka trochę blada, wskutek rozmaitych braków, kieruje jego ręką, pomaga mu pić, zjadać te wszystkie smaczne kąski, zakazane dla niej. Podochocony ucztą i przyjemnem ciepłem pokoju, kiedy na dworze huczał wicher zimowy i tumany śniegu uderzały w okna, stary kirasyer przypominał sobie swoją kampanię na Północy i opowiadał nam po raz setny o owym sławnym odwrocie z Rosyi, kiedy to nie było nic do jedzenia prócz zmarzniętych sucharów i mięsa końskiego.

— Rozumiesz to mała, zjadaliśmy konie!

Rozumiała to dobrze biedaczka! Od dwóch miesięcy już nie jadła nic innego. Z każdym dniem w miarę, jak powracał do zdrowia, nasze zadanie było coraz trudniejsze. Pewne odrętwienie wszystkich zmysłów, wszystkich członków, jakiego dotąd doświadczał, zaczynało znikać powoli. Już dwa czy trzy razy zrywał się z uszami nastawionemi, jak u psa myśliwskiego, usłyszawszy huczne wystrzały od strony bramy Maillot; musieliśmy wymyśleć, że to właśnie ostateczne zwycięstwo Bazaine’a pod

Berlinem obchodzono uroczyście salwami z gmachu Inwalidów. Innego znowu dnia, kiedy przysunęli jego łóżko do okna — było to zdaje mi się w czwartek, w dzień bitwy pod Buzenval — ujrzał zbierającą się gwardyę narodową w alei Wielkiej Armii.

— Cóż to znaczą te oddziały? — zapytał nas, a przez zęby mruknął:

— Źle trzymają się... zła postawa...

Więcej nic nie powiedział, ale zrozumieliśmy, że odtąd trzeba mieć się bardzo na baczności. Niestety! nie byliśmy dość ostrożni!

Pewnego dnia, kiedy przyszedłem, biedne dziecko wyszło do mnie bardzo wzruszone.

— Jutro wejdą już... — powiedziała.

Czy drzwi do pokoju starca były otwarte, nie wiadomo, dość, że od tej chwili, o ile sobie przypominam, przez cały wieczór miał jakiś dziwny wyraz twarzy. Bardzo jest prawdopodobnem, że nas podsłuchał, i kiedy mówiliśmy o Prusakach, poczciwiec myślał o Francuzach, o tym wspaniałym pochodzie tryumfalnym, którego od tak dawna oczekiwał. Mac-Mahon wejdzie w ulicę, obsypany kwiatami, przy dźwięku trąb, obok marszałka syn jego, a on, stary wojak, w galowym mundurze jak pod Lutzen, salutuje podziurawione kulami chorągwie i czarne od prochu orły na sztandarach...

Biedny ojciec Jouve! Wyobrażał sobie zapewne, że chcą go niedopuścić do uczestniczenia w tym pochodzie wojsk naszych, ażeby oszczędzić mu wielkiego wzruszenia. Dlatego to przed nikim nie mówił ani słowa, ale nazajutrz,

właśnie o tej samej porze, kiedy Prusacy posuwali się z pewną bojaźnią długą ulicą, prowadzącą od bramy Maillot do pałacu Tuilleries, tam na górze otworzyło się okno i na balkonie ukazał się pułkownik w swoim kasku, w lśniącym pancerzu, w całej paradzie wspaniałej starego kirasyera Michaud[2].

Zapytuję siebie nieraz, jakiego to strasznego wysiłku woli potrzeba mu było, ażeby módz powstać i tak paradnie wystąpić. Ale dość, że stał tam, oparty na poręczy balkonu, zdumiony zapewne tem, że ulice są tak zupełnie puste i nieme, że zaluzye w oknach pospuszczane.

Paryż wyglądał tak złowrogo, jakby jakiś wielki lazaret, wszędzie powiewają chorągwie, ale jakieś szczególne, białe z czerwonymi krzyżami, i nikt nie wyszedł na spotkanie wojsk naszych...

Z początku myślał, że się omylił...

Ale nie! tam poza Łukiem Tryumfalnym słychać jakiś szmer przytłumiony... Przy nadchodzącym dniu widać jakąś czarną linię, która się coraz bardziej przybliża. Powoli zabłyszczały szpice hełmów, ozwały się małe bębenki z pod Jeny, a przy skręcie na plac Gwiazdy do wtóru ciężkich kroków i brzęku szabel zagrzmiały dźwięki tryumfalnego marsza Szuberta...

Nagle w tej ponurej ciszy placu rozległ się jakiś straszny krzyk:

— Do broni! do broni! Prusacy...

I czterej ułani, idący w przedniej straży, mogli dostrzedz, jak na balkonie olbrzymi starzec zachwiał się i padł martwy... Tym razem pułkownik Jouve naprawdę nie żył...

LICHY ŻUAW.

Lory, znakomity kowal w Sainte-Marie-aux Mines, był jakiś niezadowolony tego wieczora. Zazwyczaj po zachodzie słońca, kiedy już zamknął kuźnię, zasiadał na ławce przed domem, ażeby wypocząć z rozkoszą po ciężkiej pracy i upalnym dniu i przed rozejściem się swych czeladników, wypijał z nimi kilka dobrych haustów zimnego piwa. Ale dzisiejszego wieczoru pozostał stary w kuźni aż do samej kolacyi i teraz jeszcze przyszedł jakiś nieswój.

— Co mu się przytrafiło? — myślała sobie stara Lory, patrząc na męża. — Może z pułku otrzymał jaką złą wiadomość, której nie chce mi powiedzieć... Może nasz starszy syn chory?

Nie śmiała jednak zadawać mu pytań, tylko gorliwie uciszała troje małych, jasnowłosych dzieciaków, które siedząc dokoła stołu, ze śmiechem zajadały wyborną sałatę z czarnej rzodkwi ze śmietaną.

Wkońcu kowal, nie mogąc dłużej wytrzymać, odsunął z gniewem talerz i zawołał:

— A! szubrawcy! nikczemniki!

— Cóż ci jest, Lory?

— To mi jest, że dzisiaj znowu widziałem pięciu czy sześciu tych drabów w mundurach żołnierzy francuskich, przechadzających się po mieście pod rękę z Bawarczykami. Są to znowu tacy, którzy, jak to tam mówią... przyjęli narodowość pruską... I pomyśl tylko, ze codziennie prawie widzimy powracających tych fałszywych Alzatczyków! Czy im tam czegoś zadano, czy co...

Matka próbowała bronić.

— Cóż chcesz, mój biedaku, te dzieci nie są znowu tak winne... Ta Algierya w Afryce, dokąd ich wysyłają, tak daleko... Trawi ich tam tęsknota za krajem i zbyt mocną jest pokusa porzucenia służby wojskowej i powrotu do ojczyzny.

Lory uderzył silnie pięścią w stół.

— Milcz, matko!... Wy kobiety wcale tego nie rozumiecie. Ażeby tylko módz żyć razem z waszemi dziećmi, zniżacie się same do ich poziomu... A ja ci powiadam, że ci ludzie są to szubrawcy, odstępcy, ostatni z łotrów, i gdyby broń Boże nasz Chrystyan dopuścił się podobnej podłości, to, jak się nazywam Grzegorz Lory, który służył siedm lat w strzelcach francuskich, rozpłatałbym go moją własną szablą.

Mówiąc to z okropnym wyrazem twarzy, kowal powstał i ręką ukazał długą szablę szasera, wiszącą na ścianie pod portretem syna w mundurze żuawa. Portret ów robiony był tam, w Afryce. Ale spojrzawszy na tę uczciwą twarz Alzatczyka, całą czarną i opaloną od słońca, na te rysy przyćmione, jakie przybierają żywe barwy w silnem oświetleniu, uspokoił się nagle i zaczął się śmiać.

— Co też mi przyszło do głowy! Jak gdyby to nasz Chrystyan mógł stać się Prusakiem, on, który tyle ich natłukł podczas ostatniej wojny!...

Myśl ta wróciła mu dobry humor. Skończył wesoło obiad i udał się do oberży »Pod miastem Strassburgiem«, żeby wychylić kilka kufli piwa.

Stara Lory pozostała sama. Ułożywszy troje swych małych jasnowłosych w przyległym pokoju, zkąd dochodził teraz cichy szczebiot, jak z gniazdka ptasząt, które zasypiają, wzięła jakąś robotę i usiadła z nią we drzwiach, prowadzących do ogrodu.

— O! tak! wiem ja dobrze, że to są podli renegaci; ale jednak... ich matki są szczęśliwe teraz z oglądania swych dzieci...

Przypomniały jej się te czasy, kiedy ich starszy syn przed wstąpieniem do wojska, właśnie o tej godzinie był zwykle tam, w ogródku, zajęty jakąś pracą. Spojrzała na studnię, z której zwykle czerpał wodę polewaczką, w bluzie, z długimi włosami, z tymi pięknymi włosami, które mu obcięte, gdy wstępował do żuawów.

Nagle zadrżała. Mała furtka w głębi, wychodząca na pole, otworzyła się. Psy nie szczekały — a jednak ten, kto wszedł, skradał się pod murem, jak złodziej, prześlizgując się między ulami...

— Dzień dobry, mamo!

Jej Chrystyan stoi przed nią w mundurze rozpiętym, zawstydzony, nie mogący mówić ze strachu. Wrócił nędznik do kraju wraz z innymi i oto już od godziny krąży koło domu, czatując na nieobecność ojca, ażeby módz

wejść. Matka chce się gniewać na niego, ale nie ma odwagi. Już od tak dawna nie widziała go, nie uściskała. A zresztą daje on jej takie poważne przyczyny swego powrotu. Tak mu było trudno żyć zdala od kraju, od tej kuźni, od nich, przy coraz cięższej karności wojskowej, wśród kolegów, którzy go nazywali »Prusakiem« z racyi jego akcentu alzackiego. Wszystkiemu, co jej syn mówi, matka wierzy. Dla niej wystarcza tylko spojrzeć na niego, ażeby uwierzyć. Tak rozmawiając, weszli do dolnej izby.

Rozbudzone dzieci przybiegły boso, w koszulkach, uściskać brata. Chcą mu dać jeść, ale on nie głodny. Tylko pragnienie ma straszne, pije wciąż wodę, pomimo tego wszystkiego piwa i wina białego, które wypił przez ranek w karczmie.

Ktoś idzie przez podwórze; to kowal wraca.

— Chrystyanie, ojciec twój idzie, schowaj się jak najprędzej; chcę go wpierw uprzedzić, wytłumaczyć... — i popycha syna za piec kaflowy, a sam a bierze się znów do szycia drżącemi rękami.

Na nieszczęście czapka żuawa pozostała na stole i zaraz w padła w oczy starem u Lory. Widząc bladość matki, jej zakłopotanie, zrozumiał wszystko.

— Chrystyan jest tutaj! — krzyknął okropnym głosem, zdejmując szablę ze ściany prawie nieprzytomny i rzucił się do pieca, za którym żuaw stał blady, zupełnie wytrzeźwiony, i opierał się o ścianę z obawy, żeby nie upaść.

Matka w pada pomiędzy nich.

— Lory, Lory! nie zabijaj go... to ja mu napisałam, żeby

wracał, że ty potrzebujesz go w kuźni...

Zawiesza się u rąk męża, czołga się, szlocha...

W ciemnym sypialnym pokoju dzieci krzyczą, przestraszone głosami, pełnymi gniewu i łez, tak zmienionymi, że same nie mogą ich poznać... — Kowal zatrzymał się i spojrzawszy na żonę, powiedział:

— A! to ty kazałaś mu wrócić... A więc dobrze, niech idzie spać. Jutro zobaczę, co powinienem zrobić.

Nazajutrz Chrystyan, obudziwszy się z ciężkiego snu, pełnego jakichś widziadeł i strachu bez przyczyny, znalazł się w swoim dawnym, dziecinnym pokoju.

Przez małe szybki okien w ołowianych ramach, zasłonięte kwitnącym chmielem, czuć, że gorące słońce jest już wysoko. Na dole słychać uderzenia młotów po kowadle...

Matka siedzi u jego wezgłowia, nie opuszczała go przez całą noc, tak się bała gniewu męża. Stary także nie spał wcale. Do rana chodził po domu, płakał, wzdychał, otwierał i zamykał szafy, a teraz wchodzi właśnie do pokoju syna z miną poważną, ubrany jak do podróży w długich butach, w kapeluszu z szerokiemi skrzydłami, z potężnym góralskim kijem, okutym na końcu w ręku. Idzie prosto do łóżka:

— No, dalej, wstawaj!...

Syn, zdetonowany trochę, chce wziąć swój mundur żuawa.

— Nie, nie ruszaj tego — mówi ojciec surowo.

— Ależ mój przyjacielu — odezwała się nieśmiało matka — on nie ma nic innego.

— Daj mu moje ubranie, ja go już nie potrzebuję.

Przez czas, gdy syn się ubiera, ojciec Lory składa starannie mundur, małą kamizelkę, szerokie spodnie, poczem, zrobiwszy pakunek, zawiesza sobie na szyi mały, blaszany futerał, w którym mieści się marszruta.

— Teraz zejdźmy na dół — powiada, i wszyscy troje zeszli w milczeniu do kuźni.

Niech sapie, wszyscy już są przy pracy. Ujrzawszy tę szopę, otwartą naoścież, o której tyle razy myślał tam daleko, żuaw przypomina sobie dzieciństwo, upływające na zabawach w upale słonecznym na ulicy, lub wśród iskier tej kuźni, jaśniejących w czarnym pyle. Ogarnia go czułość i wielka chęć uzyskania przebaczenia ojcowskiego, ale podniósłszy oczy, spotkał ten sam wzrok nieubłagany... Wkońcu kowal zdecydował się przemówić:

— Chłopcze! widzisz to kowadło, te narzędzia: to wszystko twoje. I to wszystko także — dodał, wskazując na mały ogródek, który było widać het w głębi, pełen słońca i pszczół, przez zasutą dymem furtkę... — Ule, winnice, dom, wszystko należy do ciebie. Ponieważ poświęciłeś nawet twój honor dla tych rzeczy, a więc bierz je w posiadanie. Jesteś panem tutaj. Ja odchodzę. Winieneś pięć lat służby Francyi... idę spłacić ten dług za ciebie.

— Lory, Lory! dokąd chcesz iść? — krzyknęła biedna matka.

— Ojcze! — błagał syn.

Ale kowal już odszedł wielkimi krokami, nie oglądając się za siebie.

. . . . . .

W Sidi-bel-Abbés do sztabu 3-go pułku żuawów kilka dni temu zaciągnął się dobrowolnie pięćdziesięciopięcioletni ochotnik.

ZEGAR Z BOUGIVAL.

Z Bougival’u do Monachium.

Był to jeden z tych zegarów w stylu drugiego cesarstw a z onyxu algierskiego, ozdobionych rysunkami Campany, z kluczykiem złoconym, wiszącym na końcu różowej wstążeczki — zegarów, jakie można kupić na bulwarach włoskich. Było to cacko śliczne, najbardziej nowoczesne, najbardziej paryskie. Prawdziwy zegar z teatru Bouffes, bijący dźwięcznym, czystym głosem, ale bez odrobiny sensu; pełen swoich widzimisię, kaprysów, pokazujący, jak się zdarzy, opuszczający półgodziny, bijący dobrze tylko godziny zebrań na giełdzie dla pana i schadzek miłosnych dla pani.

Kiedy wybuchła wojna, znajdował się na letniem mieszkaniu w Bougival. Zrobiony jakby umyślnie dla tych lekkich pałacyków, dla tych pięknych klatek, wyciętych z papieru, tego umeblowania sezonowego, tych koronek i muślinów, powiewających na tle jasnego jedwabiu. W

czasie najścia Bawarczyków, stał się ich najpierwszym łupem. Rzeczywiście trzeba przyznać, że ci ludzie z za Renu są dobrymi znawcami, bo ten zegar-cacko, nie większy od jajka synogarlicy, może śmiało odbyć podróż z Bougival do Monachium bez żadnego uszkodzenia i zaraz nazajutrz ukazał się na wystawie pana Augusta Cahn'a, handlującego rozmaitymi rzadkimi przedmiotami, zupełnie świeżym, czystym, pełnym kokieteryi, z dwiema czarnemi strzałkami grubości rzęsy i kluczykiem złoconym, zawiązanym na krzyż na końcu nowej wstążeczki.

Sławny doktor-profesor Otto Schwanthaler.

Było to wielkiem wydarzeniem w Monachium. Nigdy jeszcze nie widziano tam zegarka z Bougival, to też oglądano go teraz z równą ciekawością, jak się ogląda skorupki japońskie w muzeum Siebalda.

Przed sklepem Augusta Cahn'a stały od rana do wieczora trzy szeregi poczciwych Niemców z dużemi fajkami, którzy patrząc z podziwem i powtarzając mein Gott, kręcili głowami i rozmyślali, do czego może służyć taka mała maszynka. Dzienniki illustrowane podawały jego podobiznę. Fotografie tego małego cacka znajdowały się na wszystkich wystawach i na cześć jego uczony doktor-profesor Schwanthaler napisał swoje sławne dzieło pod tytułem: »Paradoksy o zegarach«, studyum filozoficzno-humorystyczne, w którem traktuje o wpływie zegarów na życie narodów i logicznie dowodzi, że naród, który lekkomyślnie reguluje swój czas według takiego

chronometru, jakim jest ów mały, znarowiony zegarek z Bougival, musi poddać się wszelkim katastrofom, podobnie jak statek, znajdujący się na morzu z zepsutą bussolą (okres jest trochę zadługi, lecz chciałem przełożyć go dosłownie).

Ponieważ Niemcy nie lubią nic robić lekkomyślnie, więc i uczony profesor zapragnął przed napisaniem owego studyum zbadać dokładnie przedmiot, jakby to uczynił np. entomolog. W tym celu kupił ów zegar, który w ten sposób przeniósł się z wystawy sklepowej pana Augusta Cahn'a do salonu uczonego doktora-profesora Ottona Schwanthalera, konserwatora Pinakoteki, członka akademii nauk i sztuk pięknych, do jego prywatnego mieszkania przy ulicy Ludwika pod numerem 24.

Salon państwa Schwanthalerów.

Zaraz przy wejściu do salonu państwa Schwanthalerów, akademickiego i uroczystego, jakby jaka sala posiedzeń, zwracał uwagę olbrzymi zegar z gładkiego marmuru, z bronzową polihymnią i z bardzo skomplikowaną maszyneryą. Cyferblat główny był otoczony mniejszymi. Były tam godziny, minuty, pory roku, porównanie długości dnia z nocą — wszystko, nawet zmiany księżyca, znajdującego się wśród chmur niebieskich pośrodku podstawy. Hałas, jaki sprawiała potężna maszyna, napełniał dom cały. Już na dole, na schodach, słychać było, jak ciężkie wahadło poruszało się z powagą, z pewnym akcentem, jakby dzieląc życie ludzkie na małe, jednakowe kawałki. Za temi ponuremi cyk-cyk szło pośpieszne drganie

wskazówki, przesuwającej się po sekundniku, z gorączkową pracowitością, właściwą pająkowi, znającemu cenę czasu. Następnie uderzała godzina poważnie i powoli, jakby na wieżowym zegarze w kolegium i wraz z uderzeniem każdej, w domu Schwanthalerów odbywała się jakaś czynność. Albo pan Schwanthaler wychodził do Pinakoteki obładowany papierami, albo wyniosła pani Schwanthalerowa wracała ze swemi trzema córkami, uwieńczonemi kwiatami i podobnemi do trzech tyczek chmielowych; albo też rozpoczynały się jakieś lekcye: tańców, gry na cytrze, lub gimnastyki. Otwierał się klawikord, albo brano się do haftowania. Czasem wysuwano pulpity na środek sali i rozpoczynały się produkcye muzyczne na kilku instrumentach, a wszystko to odbywało się w takim porządku, tak metodycznie, tak regularnie, że patrząc na tych Schwanthalerów poruszających się, wchodzących lub wychodzących przez drzwi otwarte narożścież, przypominał się pochód apostołów na zegarze wieżowym w Strassburgu i zdawało się, że przy ostatniem uderzeniu godziny, cała rodzina wejdzie i zniknie w tym wspaniałym chronometrze.

Szczególniejszy wpływ miał zegarek z Bougival na pewną uczciwą rodzinę w Monachium.

Właśnie obok tego monumentalnego zegaru ulokowano mały zegarek z Bougival’u, przez co jeszcze bardziej uwydatnił się jego wygląd łobuzowaty.

Pewnego wieczora wszystkie damy Sehwanthaler zajęte były haftowaniem w dużym salonie, a uczony doktor-profesor czytał kilku kolegom z akademii pierwsze stronice

swoich »Paradoksów«, przerywając sobie od czasu do czasu dla wzięcia w ręce małego zegarka i zrobienia, że tak powiem, demonstracyj poglądowych... Nagle Ewa Sehwanthaler, wiedziona jakąś brzydką ciekawością, powiedziała do ojca, rumieniąc się cała.

— Ojcze! niech on wybije godzinę.

Doktor odwiązał kluczyk, pokręcił nim dwa razy i natychmiast dało się słyszeć dźwięczne, kryształowo-czyste uderzenia zegarka, tak pełne życia, iż pod wpływem jego całe poważne zgromadzenie przeszedł jakiś dreszcz wesołości. Wszystkich oczy zajaśniały.

— Jakież to śliczne! jakież to śliczne! — mówiły panny Schwanthaler z takiem ożywieniem i poruszaniem się nozdrzy, jakiego dotąd nigdy u nich nie zauważono.

W tedy pan Schwanthaler odezwał się głosem tryumfującym:

— Patrzcie-no na tego francuskiego trzpiota! bije ósmą a pokazuje trzecią!

To rozśmieszyło wszystkich obecnych i pomimo późnej już godziny, panowie zagłębili się zapamiętale w roztrząsanie teoryj filozoficznych i zastanawianie się nad lekkomyślnością narodu francuskiego. Nikt nie myślał o odejściu. Nie słyszano nawet, jak na cyferblacie Polihymnii wybiła godzina dziesiąta, o której zazwyczaj rozchodziło się całe towarzystwo. Wielki zegar nie mógł pojąć, co się dzieje. Nigdy nie widział on tyle wesołości w rodzinie Schwanthalerów i tylu gości o tak spóźnionej porze. Najgorszem jednak było to, że kiedy panny Schwanthaler wróciły do swego pokoju, uczuły, że żołądki ich,

wysuszone tem długiem czuwaniem i śmiechem, miały chęć do powtórnej kolacyi i nawet sentymentalna Mina powiedziała, przeciągając się:

— A! z przyjemnością zjadłabym łapkę homara!

— Wesołości! moje dzieci, więcej wesołości!

Mały zegarek z Bougival, będąc już raz nakręconym, rozpoczął swój żywot nieregularny, pełen pustoty i złych przyzwyczajeń; ale powoli, pod wpływem jego dźwięcznych tonów, odzywających się bez żadnego porządku, poważny dom Schwanthalerów stracił poszanowanie dla czasu i zaczął przepędzać dnie z pewnem niedbalstwem. Nie myślano o niczem więcej, tylko o zabawie. Kiedy wszystkie godziny zostały pomieszane, życie wydawało się tak krótkiem teraz! Nastąpił jakiś ogólny przewrót. Nie było więcej ani kazań, ani nauki, tylko jakaś potrzeba ruchu, hałasu. Mendelsohn i Szubert wydawali się zanadto nudnymi, zastąpiły ich operetki »Wielka księżna z Gerolstein« i »Mały Faust«. Panny tupały, skakały, a uczony doktor-profesor jakby w szale jakimś, powtarzał bez ustanku:

— Wesołości! moje dzieci, więcej wesołości!...

Co się tyczy dużego zegaru, to nie robiono sobie już nic z niego. Panny zatrzymały jego wahadło, ponieważ jakoby przeszkadzał im spać i cały dom począł kierować się pełnemi kaprysów wzkazaniami małego zegarka.

W tym właśnie czasie pojawiło się owo sławne dzieło pod tytułem »Paradoksy o zegarach«. Z tej okazyi Schwanthalerowie dali wspaniały wieczór, nie taki jednak wieczór akademicki bez wielkiego oświetlenia i hałasów,

jak to dawniej bywało; ale wspaniały bal kostyumowy, na którym pani i panny Schwanthaler ukazały się przebrane za sterniczki z Bougival, z obnażonemi ramionami, w krótkich spódniczkach i w małych, płaskich kapeluszach z jaskrawemi wstążkami. Całe miasto mówiło o tem, ale był to tylko początek. Komedye, żywe obrazy, proszone kolacye, pikniki następowały jedne po drugich przez całą zimę w salonie poważnego członka akademii i gorszyły całe Monachium.

— Wesołości! moje dzieci, więcej wesołości! — powtarzał biedny poczciwiec coraz bardziej oszołomiony i wszyscy byli rzeczywiście bardzo weseli.

Pani Szwanthaler, zachęcona powodzeniem, jakiego doznała w kostyumie sterniczki, lubiła teraz spędzać czas na Izarze w dziwacznych strojach. Panny, pozostawione same w domu, brały lekcye francuskiego od oficerów huzarskich, uwięzionych w mieście. A mały zegar, sądząc słusznie, że jest ciągle jeszcze w Bougival, wydzwaniał godziny bez żadnego porządku, bijąc zawsze ósmą, kiedy pokazywał trzecią...

Wkońcu któregoś pięknego poranku ten prąd szalonej wesołości uniósł całą rodzinę Schwanthalerów do Ameryki, a najpiękniejsze obrazy Tycyana z Pinakoteki podążyły za swym uczonym konserwatorem...

Wynik ogólny.

Po odjeździe Schwanthalerów nastała w Monachium jakby jakaś epidemia skandalów: kanoniczki uciekały z

barytonami, dziekan instytutu ożenił się z tancerką, radcę dworu schwytano na oszukiwaniu przy grze w karty, klasztor dam szlachetnie urodzonych zamknięto z powodu hałasów, wyprawianych w nocy.

Cóż to za złośliwość losu! Ten mały zegarek był jakby jakąś złą rusałką, która wzięła sobie za zadanie oczarować całą Bawaryę. Gdzie tylko się ukazał, gdzie tylko rozległ się jego miły dźwięk — wszędzie ludzie dostawali jakiegoś obłędu. Tak przechodząc z jednego etapu na drugi, doszedł wkońcu do rezydencyi królewskiej. Czy wiecie, jaką od tego czasu partycyę miał zawsze otwartą na swoim fortepianie król Ludwik, ten zapalony zwolennik Wagnera?

— Meistersangerów?

— Nie! Fokę z białym brzuchem.

— To ich oduczy posługiwać się naszymi zegarkami...

PASZTECIKI.

I.

Rano w niedzielę piekarz Sureau, mieszkający przy ulicy Turenne, zawołał chłopca i powiedział:

— Oto ulubione paszteciki pana Bonicara, idź, odnieś je i wracaj prędko... Zdaje mi się, że Wersalczycy weszli do Paryża.

Mały nie znał się wcale na polityce. Ułożył ciepłe jeszcze ciastka na blachę, zawiązał w białą serwetkę i, nasunąwszy mocno czapeczkę na głowę, pobiegł pędem na wyspę św. Ludwika, gdzie mieszkał pan Bonicar. Ranek był prześliczny, oświetlony tem wspaniałem słońcem majowem, dzięki któremu owocarnie napełniają się pękami bzu i bukiecikami z wisien.

Pomimo odgłosu dalekich wystrzałów i nawoływań trąbek wojskowych, ta stara dzielnica miasta, Marais, wyglądała zupełnie spokojnie. Czuć było niedzielę w powietrzu, widać było gromadki dzieci, bawiących się w podwórzach, i panienki, grające w wolanta przed domami, a biała sylwetka chłopaka, kroczącego pustą drogą z przyjemnym zapachem ciepłych ciastek dokoła siebie, dodawała temu porankowi walki coś naiwnego, coś świątecznego. Zdawało się, że całe życie tej części miasta skupiło się na ulicy Rivoli. Ciągnięto tam armaty, wznoszono barykady. Na każdym kroku można było spotkać oddziały gwardyi narodowej, spiesznie dążącej. Ale mały pasztetnik nie stracił głowy. Takie dzieci przyzwyczajone są do chodzenia w tłumie, do ulicznego hałasu. Najbardziej biegać muszą w dni świąteczne, w zgiełkliwy dzień Nowego Roku, w niedzielę zapustną; to też nawet rewolucya nie dziwi ich wcale.

Przyjemnie było patrzeć na tę białą czapeczkę, prześlizgującą się pomiędzy żołnierskimi k e p i i bagnetami, czasem bardzo prędko, a czasem z przymusową powolnością, pod którą czuć było wielką chęć biegania. Co go tam obchodziła bitwa! Ważnem było to tylko, ażeby

przyjść do pana Bonicara punkt o dwunastej i zabrać prędko mały napiwek, który go tam czeka na stoliczku w przedpokoju.

Nagle w tłumie zrobił się straszny ścisk; to śpiewając przebiegał oddział »wychowańców Rzeczypospolitej«.

Byli to chłopcy uliczni, dwunasto-, najwyżej piętnastoletni, uzbrojeni w karabiny, w czerwonych pasach, dużych butach, dumni ze swego stanu żołnierskiego tak samo, jak kiedy biegli po błocie bulwarów w tłusty wtorek, ubrani w papierowe czapeczki, z kawałkiem olbrzymiego, czerwonego parasola.

Tym razem wśród tego tłoku mały pasztetnik z trudnością mógł utrzymać równowagę. Ale tyle razy już się poślizgnął wraz ze swą blachą na lodzie, tyle razy uniknął szczęśliwie potknięć na chodniku, że nie obawiał się wcale o ciastka. Nieszczęście chciało tylko, że ten pochód, ten śpiew, te czerwone pasy tak go pociągnęły ku sobie, iż zachciało mu się przejść kawałek razem z tą piękną kompanią. Nie spostrzegł się, jak minął ratusz i most, prowadzący na wyspę św. Ludwika i został porwany gdzieś daleko w kurzu i wietrze tego szalonego biegu.

II.

Od dwudziestu pięciu lat co najmniej było w zwyczaju u państw a Bonicarów jeść paszteciki w niedzielę. Punktualnie o dwunastej godzinie, kiedy wszyscy, mali i dorośli członkowie rodziny byli zgromadzeni w salonie, wesoły, żywy głos dzwonka oznajmił im, że pasztetnik

przyszedł.

Wtedy, wśród hałasu rozsuwanych krzeseł, wśród niedzielnego rozbawienia, żywego śmiechu dzieci, cała ta szczęśliwa rodzina mieszczańska zasiadała dokoła stołu, gdzie na srebrnem, ogrzanem naczyniu leżały symetrycznie ułożone paszteciki.

Tego dnia dzwonek milczał. Oburzony pan Bonicar spoglądał na zegar, stary zegar z wypchaną czaplą na wierzchu, który nigdy w swem życiu nie śpieszył się i nie spóźniał.

Dzieci poziewały, wyglądając przez okno i śledząc bacznie tę część ulicy, po której przychodził zwykle chłopak od pasztetnika. Rozmowa nie kleiła się. W skutek głodu, który się bardziej jeszcze uczuwa w żołądku przy dwunastu uderzeniach zegaru, sala wydawała się pustą i smutną pomimo starych sreber, błyszczących na gładkim obrusie, i białych serwet, zwiniętych w sztywne rurki dokoła.

Już kilka razy stara służąca przychodziła szepnąć panu do ucha, że się pieczeń przypali, że groszek zanadto się rozgotuje. Pan Bonicar uparł się nie siadać do stołu bez paszteciков. Wkońcu wściekły na pasztetnika Sureau, postanowił pójść sam i dowiedzieć się, co znaczyło to niesłychane opóźnienie.

Kiedy już wychodził rozgniewany, stukając mocno laską, sąsiedzi uprzedzali go:

— Strzeż się, panie Bonicar, powiadają, że Wersalczycy weszli do Paryża.

Nie słyszał nic — nawet odgłosów strzelaniny,

dochodzących z Nevilly, nawet wystrzałów armatnich na alarm z ratusza, wstrząsających szybami wszystkich okien.

— O! ten Sureau! ten Sureau!

Przejęty swą wyprawą, mówi sam do siebie, wyobraża sobie, że jest już w sklepie, że uderza laską w kamienną posadzkę, aż drżą szyby w oknach i talerze z ciastami.

Barykada na moście św. Ludwika, na którą natrafił, przerwała jego gniew. Na kawałku ziemi bez bruku leżało kilku powstańców z minami groźnemi, grzejąc się na słońcu.

— Dokąd idziesz, obywatelu?

Obywatel starał się wytłómaczyć; ale historya o pasztecikach wydała się bardzo podejrzaną, tem bardziej, że pan Bonicar był ubrany w swój niedzielny mundur, miał złote okulary na nosie i wogóle powierzchowność starego reakcyonisty.

— To jakiś szpieg — powiedzieli powstańcy — trzeba go odesłać do Rigault'a.

Na te słowa czterech ludzi, zadowolonych z możności opuszczenia barykady, popchnęło naprzód uderzeniami kolb zrozpaczonego biedaka. Nie wiem, jak to się stało, ale dość, ze po upływie pół godziny połączyli się z długą kolumną więźniów, mającą właśnie udać się do Wersalu.

Pan Bonicar sprzeciwiał się coraz bardziej, podnosił laskę i opowiadał po raz setny swoją historyę. Na nieszczęście to opowiadanie o pasztecikach wydawało się tak komicznem, tak nieprawdopodobnem, wobec wielkiego, ogólnego wzburzenia, że oficerowie śmieli się tylko z tego.

— Dobrze, dobrze, mój stary... wytłómaczysz się w

Wersalu.

Przez pola Elizejskie, białe jeszcze od dymu wystrzałów, kolumna posuwała się pomiędzy dwiema liniami strzelców.

III.

Więźniowie szli po pięciu w zwartych szeregach. Ażeby się nie rozpraszali, kazano im trzymać się pod ręce i to długie stado ludzkie szło tak drogą wśród kurzu, czyniąc stąpaniem szmer, podobny do szmeru wielkiego deszczu podczas burzy. Nieszczęśliwemu Bonicarowi zdawało się, że śni, spocony, sapiący, znękany strachem i znużeniem wlókł się na końcu orszaku pomiędzy dwiema kobietami, od których czuć było naftę i wódkę. Słysząc ciągle wyrazy »pasztetnik«, »paszteciki«, wszyscy dokoła niego myśleli, że zwaryował. Biedny człowiek naprawdę stracił głowę. Przy wchodzeniu na górę i przy schodzeniu na dół, kiedy szeregi rozluźniały się trochę, coś mu się przywidziało, że w tumanie kurzu widzi białą kamizelkę i czapeczkę chłopaka od pana Sureau. I to się powtarzało z dziesięć razy podczas drogi. Te białe błyski, ukazujące się jego oczom jakby na kpiny, znikały później wśród fali mundurów, bluz i łachmanów.

Nareszcie o zmroku przybyli do Wersalu.

Ujrzawszy tego starego mieszczanina w okularach, pokrytego pyłem, w ubraniu rozpiętem, z oczami błędnemi, cały tłum uznał go za jakiegoś wielkiego zbrodniarza.

— To pewno Feliks Pyat... Nie! to Deleselure[3]...

Z trudnością strzelcy, eskortujący orszak, doprowadzili

go nietkniętego do dziedzińca Oranżeryi. Tutaj dopiero nieszczęśliwe stado mogło się trochę rozluźnić, rozłożyć na ziemi i odetchnąć. Niektórzy pokładli się spać, niektórzy złorzeczyli, jedni kaszlali, drudzy płakali. Bonicar nie płakał i nie spał. Usiadłszy na brzegu ganku, z głową opartą na rękach, mdlejący z głodu, wstydu i zmęczenia, myślał o nieszczęśliwym dniu dzisiejszym, o swem wyjściu z domu, o niepokoju pozostałych domowników, wreszcie o tem nakryciu, które będzie czekało tam na niego do wieczora; później przyszły mu na myśl upokorzenia, łajania, uderzenia kolbami, jakich doświadczył i to wszystko z przyczyny niepunktualności pasztetnika.

— Panie Bonicar! oto są pańskie paszteciki — odezwał się nagle głos tuż za nim.

Kiedy biedny poczciwiec podniósł głowę, zdziwił się, ujrzawszy przed sobą małego chłopca od pana Sureau...

Chłopak, który porwany wirem, przyszedł tu razem z »wychowańcami Rzeczypospolitej«, podał mu blachę, schowaną pod białym fartuchem.

Oto, w jaki sposób, pomimo rozruchów ulicznych i uwięzienia, pan Bonicar mógł, jak w każdą niedzielę, zjeść swoje paszteciki.

BITWA NA CMENTARZU PÈRE LACHAISE.

Stróż zaczął się śmiać.

— Bitwa tutaj!... Ależ nigdy tu żadnej bitwy nie było. To jakiś wymysł dzienników... Opowiem wszystko jak najprawdziwiej.

Wieczorem 22-go, było to, jak wiadomo, w niedzielę, ujrzeliśmy przybywających trzydziestu artylerzystów komuny z bateryą, składającą się z siedmiu dział i jednej kartaczownicy nowego systemu.

Zajęli pozycyę na najwyższem miejscu cmentarza, a ponieważ do mnie należy dozór nad tamtą sekcyą, ja sam więc ich przyjąłem. Kartaczownicę ulokowali w tym kącie ulicy niedaleko od mojej budki, a armaty trochę niżej na tamtej rabacie. Jak tylko przybyli, kazali mi otworzyć kilka kaplic. Myślałem, że wszystko połamią, wszystko zrabują wewnątrz, ale dowódca ich stanął pomiędzy nimi i wydał następujący rozkaz:

— Pierwszej świni, która ruszy cokolwiek, przestrzelę pysk... Rozejść się!

Był to starzec zupełnie biały, obwieszony medalami za wojnę krymską i włoską i nie wyglądający wcale na pobłażliwego. Trzeba oddać sprawiedliwość tym ludziom, że umieli zachować karność — nie wzięli nic, nawet krucyfiksu z grobu księcia Morny, który sam kosztował dwa tysiące franków. A jednak ta artylerya komuny było to zbiorowisko ludzi z najgorszych warstw społeczeństwa. Kanonierzy przypadkowi, którym chodziło tylko o wzięcie swej wysokiej zapłaty trzech franków pięćdziesięciu

centymów. Trzeba było widzieć, jakie oni życie pędzili tam na cmentarzu. Spali jeden na drugim w grobach Morny'ch, Favronne'ów, w tym pięknym grobie Favronne'ów, gdzie mamka królewska jest pochowaną. Wino, które dostawali, chowali do grobu Champeaux, bo tam jest fontanna. Potem sprowadzili sobie kobiety. Po całych nocach pili i łajdaczyli. O! nasłuchali się nasi umarli głupstw!

Jednakże, pomimo całej nieznajomości rzeczy, ci bandyci robili wiele złego Paryżowi.

Zajmowali taką dobrą pozycyę. Od czasu do czasu otrzymywali rozkaz:

— Strzelać w kierunku Louvru... strzelać w kierunku Palais Royal...

Wtedy stary kazał nabijać działa i leciały z rozpędem granaty na miasto. Co się tam działo na dole, nikt z nas dobrze nie wiedział. Słyszano tylko coraz bardziej zbliżającą się strzelaninę, ale powstańców nie niepokoiło to wcale. — Przy krzyżujących się wystrzałach z Chaumont i Monmartre, z Père Lachaise, zdawało im się nieprawdopodobnem, żeby Wersalczycy mogli się posuwać naprzód. Zaniepokoił ich dopiero pocisk, wysłany ku nam przez piechotę arynarki, zajmującą pagórek Monmartre.

Było to całkiem nieoczekiwane!

Znajdowałem się wtedy pomiędzy nimi. Stałem oparty o grób Morny'ego, paląc fajkę. Usłyszawszy huk bomby, zaledwo zdążyłem upaść na ziemię. Z początku nasi kanonierzy przypuszczali, że to był wystrzał omyłkowy, może jakiegoś kolegi pod dobrą datą. Ale właśnie! po upływie pięciu minut, Monmartre znowu błysnęło i drugi

pocisk z takim samym zamachem wpadł do nas, w mgnieniu oka moje zuchy porzucili armatę i kartaczownicę i w nogi — cmentarz był dla nich za mały, biegali, wciąż wołając:

— Jesteśmy zdradzeni!... jesteśmy zdradzeni!

Stary sam jeden pozostał wśród pocisków, pomiędzy swemi armatami, płacząc ze wściekłości, że go kanonierzy opuścili.

Pod wieczór, kiedy nadeszła godzina wypłaty, zawróciło kilku. Patrz pan! tam na mojej budzie są jeszcze wypisane nazwiska tych, którzy zjawili się tego wieczoru. Stary pozapisywał ich.

— Sidaine — obecny, Chondeyras — obecny, Billot, Vailon...

Jak pan widzi, było ich nie więcej, jak pięciu lub sześciu, ale mieli ze sobą kobiety... A! nigdy nie zapomnę tego wieczoru wypłaty! Tam na dole Paryż w płomieniach, ratusz, arsenał, magazyny zapasowe — wszystko. Na cmentarzu naszym było widno jak w dzień. Powstańcy próbowali jeszcze puścić w ruch działa, ale było ich za mało, a powtóre ogień z Monmartre, przejmował ich strachem. Wtedy weszli do jakiegoś grobu i zaczęli pić ze swemi ladacznicami. Stary usiadł pomiędzy dwiema figurami kamiennemi, przy wejściu do grobu Favronne'ów i patrzał strasznym wzrokiem na palący się Paryż. Zdawało się, że wątpił, aby to była ostatnia jego noc.

Od tej chwili nie wiem dobrze, co się działo. Poszedłem do domu, do tego baraku, który widać na dole pomiędzy gałęziami. Byłem bardzo zmęczony. Położyłem się w

ubraniu na pościeli, nie gasząc lampy, jak to się robi podczas burzy. Nagle słyszę natarczywe stukanie do drzwi. Żona moja, cała drżąca, poszła otworzyć. Myśleliśmy, że ujrzymy jeszcze powstańców. Omyliliśmy się. Byli to marynarze: komendant, kilku chorążych, lekarz.

— Wstawajcie... zgotujcie nam kawy — powiedzieli do nas.

Wstałem i zrobiłem, co kazali. Na cmentarzu słychać było jakiś głuchy szmer, jakiś ruch przytłumiony, jakby wszyscy umarli wstali na sąd ostateczny.

Było tam pełno żołnierzy z marynarki. Postawiono mnie na czele oddziału i poszliśmy szperać od grobu do grobu. Od czasu do czasu żołnierze, ujrzawszy gdzieś poruszanie się liści, celowali i strzelali w ten krzak, lub ogrodzenie. Gdzieniegdzie znajdowano któregoś nieszczęśliwca, schowanego w jakimś zakątku kaplicy. Rozprawa była zwykle bardzo krótka.

A oto jaki był koniec owej artyleryi.

Znalazłem wszystkich mężczyzn i kobiety, zwalonych w jednę kupę przed moją budką, a stary z orderami leżał na samym wierzchu. Nie był to wesoły widok w ten zimowy, wczesny poranek. Brrr! Ale co mię najbardziej wzruszyło, to widok długiej linii gwardyi narodowej, którą teraz przyprowadzono z więzienia Roquette, gdzie noc spędziła. Szła ona poważnie główną aleją, jakby jakiś orszak pogrzebowy. Nie słychać było od nich ani jednego wyrazu skargi! Ci biedni byli już tak zgnębieni, tak zmordowani i znajdowali się pomiędzy nimi tacy, którzy spali, idąc; nawet idąc na śmierć, nie mogli się rozbudzić.

Przeprowadzono ich w głąb cmentarza i rozpoczęła się kanonada. Było ich stu czterdziestu siedmiu! Możecie wyobrazić sobie, jak to długo trwało! Oto widzisz pan, co nazywają bitwą na cmentarzu Père Lachaise.

W tej chwili starowina spostrzegłszy swego naczelnika, opuścił mię nagle. Pozostałem sam i przyglądałem się nazwiskom, wypisanym na budce, przy blasku palącego się Paryża, w ten dzień ostatniej wypłaty. Przedstawiałem sobie tę noc majową, czerwoną od krwi, płomieni, brzmiącą hukiem pękających granatów, ten pusty zwykle cmentarz oświetlony teraz, jakby miasto jakieś w dzień wielkiej uroczystości, opuszczone działa na rozdrożach, dokoła otwarte lochy, orgie, odbywające się w grobach, a niedaleko ztąd wpośród tej masy kopuł, kolumn, posągów kamiennych, ożywionych drganiem płomieni, stoi wspaniałe popiersie z wyniosłem czołem i dużemi oczyma, popiersie Balzaca, patrzącego na to wszystko.

KONCERT ÓSMEJ KOMPANII.

Wszystkie bataliony z dzielnicy Marois i z przedmieścia św. Antoniego obozowały tej nocy w barakach, pobudowanych przy ulicy Domesuil.

Już od trzech dni korpus Ducrota bił się na wyżynach

Champigny, a my tworzyliśmy niby rezerwę.

Nie może być nic smutniejszego, niż to biwakowanie na bulwarach poza miastem, otoczonych kominami fabryk, pozamykanemi przystaniami, opuszczonymi warsztatami, w tych niewesołych dzielnicach, oświetlonych tylko gdzieniegdzie sklepami handlarzy win. Nic bardziej mrożącego, bardziej nędznego, niż te długie baraki z desek, ciągnących się na ubitej, twardej, suchej ziemi grudniowej, z małemi okienkami, źle dopasowanemi, i zawsze otwartem i drzwiami; te dymiące lampy, przyćmione mgłą, jakby jakieś latarnie na otwartem powietrzu. Niepodobieństwem jest tam ani czytać, ani spać, ani siedzieć. Trzeba było wymyślać jakieś gry ulicznikowskie, ażeby się rozgrzać: bić w podeszwy rękami, jak to robią dzieci, biegać dokoła baraków. Ta głupia bezczynność tuż prawie obok pola walki, była czemś tak denerwującem, haniebnem! Szczególniej noc! Jak tylko kanonada ucichała, czuć było, że się tam wysoko przygotowuje druga okropna serya; od czasu do czasu, kiedy ognie elektryczne oświetliły tę część Paryża, widać było milczące oddziały zgromadzone na brzegach trotuarów, inne znowu posuwały się ulicą, tworząc swą zbitą masą jak ciemne jakieś pokrycie, zdawało się, że ludzie czołgają się po ziemi, tak wydawali się małymi wobec tych wysokich kolumn na placu Tronowym.

Siedziałem cały zmrożony, zatracony jakiś w tej nocnej ciemności olbrzymich bulwarów, kiedy ktoś do mnie powiedział:

— Chodźcie-no do ósmej kompanii... zdaje się dają tam koncert...

Poszedłem. Każda z naszych kompanii miała swój barak. Należący do ósmej był lepiej od innych oświetlony i napchany ludźmi. Świece, zatknięte na końce bagnetów, paliły się dużym płomieniem, przyćmionym czarnym dymem, który słał się też na głowach wszystkich tych robotników z twarzami ordynarnemi, zniszczonemi od pijaństwa, chłodu, zmęczenia i tego snu w postawie stojącej, od którego człowiek staje się bledszym i jeszcze bardziej zmęczonym. W jednym kącie spała markietanka z otwartemi ustami, skręcona w kłębek na ławce przed swoim stołem, zastawionym próżnemi butelkami i brudnemi szklankami.

Śpiewano.

Kolejką, jak wypadało z roli, panowie amatorowie wychodzili na estradę, sporządzoną naprędce w głębi sali, pozowali, deklamowali, drapowali się w swoje kołdry, na wzór tego, co widzieli w melodramatach.

Odnalazłem tam te głosy chrapliwe, drżące, które dają się słyszeć w głębi pasażów w dzielnicach robotniczych, pełnych krzyku dzieci, wiszących klatek, bud hałaśliwych. Słyszeć te śpiewy przy akompaniamencie stuku narzędzi, młotów i hebla, doznaje się przyjemnego wrażenia, ale tu, na tej estradzie było to śmiesznem i rozdzierającem serce.

Najprzód ujrzeliśmy robotnika myśliciela, mechanika z długą brodą, który śpiewał o niedoli proletaryatu.

— B i e - e - e - d n y p r o l e - e - t a - r y a t... o... o... — wywodził głosem gardłowym, w którym czuć było całą gniewność świętej Międzynarodówki.

Potem wystąpił drugi, nawpół senny, który śpiewał nam

sławną piosnkę o »Kowalu«, ale takim znudzonym, powolnym, płaczliwym tonem, jakby to była jakaś kołysanka...

— To jest kanalia... dobrze więc!... jestem nią...

Podczas, gdy tak zawodził, słychać było sapanie upartych śpiewaków, którzy wyszukiwali sobie kąta i mrucząc, odwracali się od światła.

Nagle jasność jakaś błysnęła w szczelinach między deskami, aż zbladły czerwone płomienie świec. W tej samej chwili głuchy huk wstrząsnął barakiem, za tym inne jeszcze bardziej głuche i bardziej oddalone i zagrzmiała jakby kaskada tonów, milknąca powoli na wzgórzach Champigny. Bitwa rozpoczęła się na nowo.

Ale panowie amatorowie kpili sobie z walki.

Ta estrada, te cztery świece, obudziły w tym tłumie jakieś nizkie instynkty komedyantów. Trzeba było widzieć, jak pilnie śledzili ostatnie kuplety, jak z ust do ust przechodziły słowa romansu. Nikt więcej nie czuł zimna. Ci, którzy byli na estradzie i którzy z niej schodzili i ci, którzy czekali na swą kolej — wszyscy z pieśnią romansową na ustach byli rozczerwienieni, spoceni, mieli oczy błyszczące. Próżność rozgrzewała ich.

Były tam nawet znakomitości dzielnicy: jakiś tapicer poeta, który pragnął zaśpiewać piosnkę swojej kompozycyi pod tytułem »Egoista« z przyśpiewką »Każdy dla siebie«, a ponieważ miał jakąś wadę w języku, wymawiał więc tak: egoifta, kawdy dla siebie. Była to satyra na mieszczan pasibrzuchów, którzy wolą zawsze siedzieć w

ciepłym kącie swego domowego ogniska, niż wstąpić w szeregi walczących. Nigdy nie zapomnę dobrodusznej twarzy owego bajkopisa, jego k e p i, nasuniętego na uszy, z podpinką na podbródku i podkreślania wyrazów, kiedy ciskał nam swoją przyśpiewkę ze złośliwym akcentem:

— K a w d y d l a f i e b i e... k a w d y d l a f i e b i e...

Tymczasem działa także śpiewały, dołączając swój bas głęboki do trelów kartaczownicy. Śpiewały one o rannych, umierających z zimna w śniegu, o konających na zboczach gór w kałużach krwi zmarzniętej, o padających na oślep pociskach, o czarnej śmierci, która przybywała ze wszystkich stron w ciemnościach nocy... A koncert ósmej kompanii szedł swoim porządkiem!...

Teraz mieliśmy rozmaite facecye. Jakiś stary błazen z wywróconemi oczami i czerwonym nosem dreptał na estradzie przy szalonem tupaniu nóg, biciu brawo i okrzykach »bis«. Głośny śmiech z tych plugawości rozweselał twarze mężczyzn. Markietanka zbudziła się nagle ze snu, ściśnięta w tłumie, pożerana oczami przez wszystkich, pokładała się także ze śmiechu, a stary ciągnął dalej okropnym głosem:

— D o b r y B ó g, p i a n y j a k...

Nie mogłem wytrzymać dłużej. Wyszedłem. Nadchodziła moja kolej stać na warcie, ale tem gorzej, bo teraz właśnie czułem potrzebę przestrzeni szerszego powietrza; poszedłem więc przed siebie daleko aż do Sekwany. Woda wydawała się zupełnie czarną, na wybrzeżach było pusto.

Ciemny, nieoświetlony Paryż zasypiał w ognistem kole.

Błyskawice wystrzałów armatnich migały dokoła, a łuny pożarów ukazywały się jedna za drugą na wyniosłościach. Nagle tuż blisko przy mnie odezwały się jakieś ciche, naglące głosy, zupełnie wyraźne w zimnem powietrzu. Słychać było czyjś przyspieszony oddech i dodawanie odwagi...

— O! hissa!...

Głosy raptownie ucichły, jakby w zapale jakiejś wielkiej pracy, która pochłania wszystkie siły.

Zbliżywszy się do brzegu, rozpoznałem przy słabym blasku, jaki bije zawsze od najczarniejszej nawet wody, małą kanonierkę, która ugrzęzła przy moście i którą starano się zepchnąć z mielizny.

Latarnie, poruszane uderzeniami fali, zgrzyt lin okrętowych, które ciągnęli marynarze, wykazywały opadanie wody, cofanie się, wszystkie ciężkie trudy tej walki ze złą wolą rzeki i ciemnej nocy...

Dzielny statek! jak go niecierpliwiły wszystkie te opóźnienia! Ze wściekłością bił kołami po wodzie, kotłując ją na miejscu. Nareszcie po największym wysiłku udało się go popchnąć naprzód. Zuchy chłopcy!... Kiedy tak prostą drogą podążali na pole walki, które ich ku sobie wzywało, olbrzymi okrzyk: »n i e c h ż y j e F r a n c y a« odbił się echem o most.

O! jak dalekim od tego był koncert ósmej kompanii!

TURKOS KOMUNY.

Był to mały cymbalista tyralierów arabskich. Nazywał się Kadur, pochodził z plemienia Dzendel i należał do tej garstki turkosów, którzy się dostali do Paryża z armią Vinoy. Od Wissemburga do Champigny odbył całą kampanię, przebiegając po polach bitwy, jak zwiastun burzy, ze swemi grzechotkami żelaznemi i swoją derbuką (bęben arabski) tak prędko, tak żwawo, że kule nie mogły go trafić. Ale kiedy nadeszła zima, mały bronzowy afrykanin, który poczerwieniał w ogniu armatnim, nie mógł przyzwyczaić się do spędzania nocy na warcie, do nieruchomości wśród śniegu. To też pewnego styczniowego poranku znaleziono go nad brzegiem Marny ze zmarzniętemi nogami, skostniałego od zimna. Długo potem pozostawał w ambulansie i tam go widziałem po raz pierwszy.

Smutny i cierpliwy jak chory pies, spoglądał dokoła siebie łagodnym wzrokiem. Kiedy mówiono coś do niego, uśmiechał się, pokazując białe zęby. To było wszystko, co mógł zrobić, bo języka naszego nie rozumiał i zaledwie znał sabir, gwarę algierską, złożoną z języków prowansalskiego, włoskiego i arabskiego, pstrych wyrażeń, nagromadzonych dowolnie, jak muszelki na wybrzeżu morskiem.

Jedyną rozrywką jego była derbuka. Od czasu do

czasu, kiedy się nudził, przynoszono mu ją do łóżka i pozwalano grać, ale nie bardzo głośno, przez wzgląd na innych chorych. W tedy jego biedna twarz, taka czarna i zamglona, tak pozbawiona życia, w żółtawem świetle dnia, przy tym smutnym krajobrazie zimowym, który widać było z ulicy, ożywiała się i wykrzywiała w takt do poruszeń rytmicznych. Niekiedy bębnił do ataku i wtedy białe zęby jego błyskały w dzikim śmiechu; albo też wygrywał muzułmańską pobudkę poranną i wtedy oczy jego zachodziły łzami, nozdrza się rozszerzały: w tym ckliwym zapachu ambulansu, wpośród mnóstwa flaszek i kompresów, widział lasy Blidahu, obciążone pomarańczami, i małe maurytanki, wychodzące z kąpieli w białych zasłonach i woniejące werbeną.

Tak upłynęło dwa miesiące. W Paryżu zaszło wiele nowego, ale Kadur nie wiedział o tem. Słyszał tylko, jak pod oknami przechodziły oddziały zmęczone, bez broni, słyszał turkot armat, przewożonych od rana do nocy, potem dzwony na trwogę, kanonadę... Z tego wszystkiego rozumiał tylko to jedno, że wojna trwała ciągle i że on mógłby się już bić, ponieważ nogi były wyleczone. Nareszcie wyruszył ze swoim bębnem na plecach na poszukiwanie swego oddziału... Nie długo szukał. Przechodzący powstańcy odprowadzili go na plac. Po długich wypytywaniach, kiedy nic nie można było od niego wyciągnąć, prócz tylko *bono beret macache bono*, skończyło się na tem, że dyżurny generał dał mu dziesięć franków, konia od omnibusu i zatrzymał go w swoim sztabie. W sztabie tym była ciekawa zbieranina: czerwone

kapoty, płaszcze polskie, huzarki węgierskie, bluzy bawełniane majtków, złoto, aksamit, szamerowania. Turkos w niebieskiej kamizelce, wyszywanej żółtem, w turbanie, ze swą d e r b u k ą za plecami dopełniał tej maskarady. Szczęśliwy z należenia do tak pięknej kompanii, upojony słońcem, kanonadą, chodzeniem po ulicach, obfitością broni i mundurów, przekonany zresztą, że to jest wojna przeciwko Prusakom, która dalej trwała, tylko prowadzona w sposób swobodniejszy, żywszy — ten zbieg został zamieszany, sam nie wiedząc o tem, do tej wielkiej bachanalii paryskiej i stał się znakomitością chwili. Wszędzie, gdzie się pokazał, powstańcy okazywali mu radość i podziwiali go. Komuna była tak dumna z posiadania turkosa, że się nim popisywała, pokazywała, chełpiła się nim, jak kokardą czerwoną. Dwadzieścia razy dziennie posyłano go z placu na pole walki, z pola walki do ratusza. Tyle już słyszeli o tem, że ich marynarze nie są prawdziwymi marynarzami, artylerzyści prawdziwymi artylerzystami. Ten przynajmniej jest niewątpliwym turkosem. Ażeby się o tem przekonać, dość było podziwiać przezorną zwinność młodej małpy i całą dzikość tego małego ciała, poruszającego się na dużym koniu w fantazyjnych podskokach.

Czegoś jednak brakowało Kadurowi do szczęścia. On wolałby bić się, mieć do czynienia z prochem. Ale na nieszczęście podczas komuny, tak samo, jak za czasów cesarstwa, główne sztaby nie zawsze przyjmowały udział w walce. Po odbyciu biegania i parady, biedny turkos spędzał czas na placu Vendôme, albo w podwórzach ministeryum

wojny, w bezładnych obozowiskach, pełnych baryłek z wódką, zawsze napoczętych, beczek słoniny z odbitemi dnami, wśród szalonych pohulanek, w których czuć jeszcze było wygłodzenie się podczas oblężenia.

Nie mogąc, jako wierny muzułmanin, brać udziału w tych orgiach, Kadur trzymał się na uboczu, ponury i cichy wykonywał w kąciku swoje religijne obmywania, swoje k u s - k u s z garścią kaszy; potem, po odegraniu krótkiego kawałka na d e r b u c e, otulał się w swój burnos i zasypiał gdzieś na ganku przy płomieniu biwaku. Pewnego majowego poranku turkosa obudziła straszna strzelanina. Ministeryum było w poruszeniu. Biegano, uciekano. Machinalnie zupełnie turkos zrobił to samo, co inni, skoczył na konia i podążył za sztabem. Na ulicach słychać było nawoływanie trąbek, bataliony powstańcze pędziły w nieładzie. Widocznie działo się coś nadzwyczajnego... Im więcej zbliżano się do nadbrzeży, wystrzały były głośniejsze, zamieszanie coraz większe. Na moście Zgody Kadur zgubił swój sztab. Trochę dalej odebrano mu konia, był potrzebnym dla jakiegoś żołnierza w kepi, naszyłem ośmioma rzędam i galonów, któremu pilno było zobaczyć, co się dzieje w ratuszu. Turkos rozwścieklony począł biedź w stronę toczącej się bitwy. Biegnąc nabijał swój karabin i szeptał ciągle: *Macach bono Brissien*... zdawało mu się, że to Prusacy weszli.

Już kule świstały dokoła obelisków wśród zieleni Tuilleries. Na barykadach przy ulicy Rivoli mściciele Flourens'a zawołali nań: »Hola turkosie, turkosie«. Było ich nie więcej nad dwunastu, ale turkos sam wystarczał za

całe wojsko...

Dumny, widoczny zdała, jak chorągiew, stoi na barykadach i walczy krzycząc, skacząc pod gradem kartaczy. Na chwilę zasłona z dymu, unoszącego się nad ziemią, przerzedziła się w przerwie pomiędzy dwiema kanonadami — wtedy turkos ujrzał mnóstwo czerwonych spodni, tłoczących się na polu Elizejskiem. Potem znowu wszystko się zmieszało. Pomyślał, że mu się wydaje i wziął się dalej do roboty. Nagle na barykadzie umilkło. Ostatni artylerzysta zniknął po daniu ostatniego strzału. Turkos nie ruszał się z miejsca. Zaczajony, gotów do skoku, przygotował odpowiednio swój bagnet i oczekiwał na spiczaste kaski. Nadeszło wojsko liniowe... Przy głuchym odgłosie kroków żołnierzy, idących do ataku, oficerowie krzyczeli:

— Poddaj się!

Turkos na chwilę osłupiał, potem rzucił się ku nim ze strzelbą do góry.

— *Bono, bono Francese!*

Przedstawił on sobie w swej dzikiej wyobraźni, że to było owo wojsko, przynoszące oswobodzenie, wojsko Faidherbe’a albo Chanzy’ego, na które tak dawno czekali Francuzi. Jakże był szczęśliwy, jak śmiał się do nich swymi białymi zębami!

W jednem mgnieniu oka barykada była zajęta przez żołnierzy. Otaczają go, popychają.

— Pokaż twój karabin.

Jego karabin był jeszcze gorący od wystrzałów.

— Pokaż twoje ręce.

Jego ręce były czarne od prochu. Biedny turkos pokazywał je z dumą, zawsze z dobrym uśmiechem.

Wtedy popchnięto go do muru i zabrzmiały wystrzały...

Umarł, nie rozumiejąc, co się stało...

MOJE KEPI.

Znalazłem je dziś rano, zapomniane w głębi szafy, zniszczone od kurzu, z postrzępionymi brzegami, z zardzewiałą cyfrą, wypłowiałe i prawie bezkształtne.

— Cóż! moje kepi...

Natychmiast przypomniał mi się ten dzień późnej jesieni, gorący od słońca i od zapału, gdy wyszedłem na ulicę, dumny z mego nowego przykrycia głowy, tłukąc karabinem wystawy sklepowe; wyszedłem, ażeby się połączyć z batalionem mej dzielnicy i spełnić obowiązek żołnierza obywatela.

O! ktoby mi był zaprzeczył, że ja sam nie ocalę Paryża i Francyi, wpakowałbym mu na pewno w brzuch ostrze mojego bagnetu.

Tak mocno wierzono wówczas w tę gwardyę narodową! W ogrodach publicznych, na bulwarach, w alejach, na placach — wszędzie gromadziły się i porządkowały oddziały; mieszały się bluzy z mundurami, kaszkiety z kepi,

bo się trzeba było śpieszyć.

Nasz oddział zbierał się każdego ranka na pewnym placu z niskiemi arkadami, z szerokiemi bramami domów, pełnym mgły i przeciągów. — Po zrobieniu apelu tych setek nazwisk, tworzących jakby olbrzymi różaniec, zaczynały się ćwiczenia. Z łokciami przy boku, z zębami zaciśniętymi, oddział zaczynał maszerować — na lewo, na prawo, na lewo, na prawo. I wszyscy wielcy i mali, dorodni i słabi, ci, którzy mieli na sobie mundury, pamiętające teatr Ambigu, i ci, którzy byli obwinięci szerokimi, niebieskimi pasami, nadającymi im wygląd dzieci z chóru — wszyscy chodziliśmy, krążyliśmy dokoła naszego niewielkiego placu, pełni zapału i przekonania.

Wszystko to byłoby bardzo śmiesznem, bez tego głębokiego basu, jakim się odzywały działa, bez tego nieustannego akompaniamentu, który ułatwiał i zaokrąglał nasze manewry, uzupełniał lichą komendę, łagodził niezgrabność, niezręczność, i w tym wielkim melodramacie oblężonego Paryża odgrywał rolę muzyki na scenie, używanej w teatrze dla dodania patetyczności pewnej sytuacyi.

Najpiękniejsze było wejście nasze na wały. Widzę siebie jeszcze w ten poranek mglisty, kiedy z dumą przechodzę przed kolumną lipcową i salutuję ją po wojskowemu.

— Prezentuj broń!

I te długie ulice w Charonne, przepełnione ludem, ślizkie, po których tak trudno było maszerować, i ten bęben, który za zbliżeniem się do bastionów wzywał do ataku:

— Rran! rran!...

Zdaje mi się, że tam jestem jeszcze... Wszystko to było takie porywające, ten obwód Paryża, te wzgórza zielone, poryte działami, ożywione rozbitymi namiotami, ten dym biwaków i te sylwetki zdrobniałe, ukazujące się het wysoko ponad nagromadzonymi tornistrami, błotem, kepi i ostrzami bagnetów.

O! pamiętam moją pierwszą straż nocną, pochód po omacku w ciemności wśród deszczu, patrol stacza się, potyka po mokrej pochyłości, wydostaje na drogę, a mnie zostawia samego, siedzącego na bramie Montrenil, na olbrzymiej wysokości. — Jaki szkaradny czas był tej nocy! W bezbrzeżnej ciszy, zalegającej miasto i wieś, słychać tylko wiatr, który huczy dokoła okopów, zgina żołnierzy stojących na warcie, unosi hasła i dzwoni szybami starej latarni, stojącej na dole, na drodze nocnych patroli. Niech dyabli porwą latarnię! Za każdym razem zdawało mi się, że słyszę brzęk szabli ułańskiej; siedziałem tak z bronią na ramieniu i ze słowami »kto idzie« na ustach. Nagle deszcz stał się chłodniejszym. Niebo nad Paryżem pobielało. Ukazała się jakaś wieża, kopuła. Jakiś fiakr przejechał daleko, odezwał się dzwon. Olbrzymie miasto budziło się i w tym pierwszym dreszczu porannym obudziło trochę życia dokoła siebie. — Po drugiej stronie wzgórza zaśpiewał kogut... U nóg moich na ciemnej jeszcze drodze patrolów, dał się słyszeć szmer kroków, chrzęst żelaza, a w odpowiedzi na to mój przeraźliwy głos: »stój«, »kto idzie«. We mgle doleciały do mnie drżące, bojaźliwe słowa:

— Kawiarka!

Cóż chcecie! Były to pierwsze dni oblężenia i my biedni

żołnierze myśleliśmy, że Prusacy, przeszedłszy przez ogień fortów, przybędą do stóp wałów i używszy swych drabin, którejś pięknej nocy wdrapywać się zaczną z okrzykiem »hurra!« i z lancami, błyszczącemi w ciemnościach... Łatwo sobie wyobrazić, czy można zachowywać się spokojnie, żywiąc takie przypuszczenia.

Prawie każdej nocy rozlegał się okrzyk »do broni! do broni!« — powtarzały się nagłe alarmy potykania się o wywrócone kozły, wołania przerażonych oficerów, którzy krzyczeli: »odwagi! odwagi!« ażeby samym sobie dodać jej w ten sposób. Ale gdy nadszedł dzień, spostrzegano jakiegoś biednego konia, który wyrwawszy się, przeskoczył fortyfikacye i chrupał trawę na pochyłości wałów, nie wiedząc nic o tem, że przedstawiał w nocy cały szwadron kirasyerów białych i był celem do strzelania dla załogi bastionu.

Wszystko to przypomina mi moje kepi; całe mnóstwo przygód, wzruszeń, obrazów, Nanterre, Courneuve, Moulin-Saquet i ten piękny zakątek nad Marną, gdzie nieustraszony batalion 96-ty bił się po raz pierwszy i po raz ostatni. Baterye pruskie były naprzeciw nas, umieszczone na skraju drogi za małym laskiem, jakby jedna z tych chatek szczęśliwych, z których komina unoszący się dym widać przez gałęzie; a na całej linii naszego wojska, otwartej zupełnie, gdzie nas zostawili i zapomnieli przywódcy, sypał deszcz granatów, rozlegał się huk pocisków, leciały iskry złowrogie...

Mniejsza o to! są to zawsze piękne wspomnienia, może trochę dziwaczne, ale nawet z odrobiną bohaterstwa... O

gdybyś ty mi nie przypominało nic innego! Niestety! Były także nocne warty w Paryżu, posterunki w sklepikach niewynajętych, piece nieopalane, brudne ławki, warty nudne przede drzwiami merowstwa, na placu, pokrytym zimowem błotem, w którego strumieniach odbijało się całe miasto, policya uliczna, patrolowanie po bagniskach, wałęsający się pijani żołnierze, dziewczyny uliczne, złodzieje i te blade poranki, w które się powracało zmęczonym, z maską pyłu na twarzy, nieprzyjemny zapach fajek, nafty, starą morszczyznę przylepiającą się do ubrania. I te długie dnie, głupio spędzone, rozprawy przy wyborze oficerów, pijatyki, poncze pożegnalne, kolejki kielichów, plany bitew, objaśniane przy stoliku od kawy za pomocą zapałki, głosowanie, polityka i jej siostra — święte próżniactwo; bezczynność, której nie wiedziano czem wypełnić, ten czas marnowany, wytwarzający jakąś próżnię, w której czuło się potrzebę ruchu, czynu. I wyprawy na przeszpiegi, bezmyślne niedowierzania, ufność przesadna, wycieczki ogólne, przebicie się — wszystkie niedorzeczności i szały ludu uwięzionego...

Oto, co przypominam sobie, patrząc na ciebie, okropne kepi!... Ty także należałeś do tego, brałeś udział w tych szałach!... I gdyby nie to, że na drugi dzień po bitwie pod Bousenval cisnąłem cię na szafę i nie zrobiłem jak inni, którzy swoje czapki zachowali, upiększyli nieśmiertelnikami i złotymi galonami, uporczywie pozostając numerami zniesionych batalionów — kto wie, na jaką wtedy barykadę byłbyś mnie pociągnął!... O! stanowczo! kepi buntów i niekarności, kepi lenistwa,

pijaństwa klubów, pogadanek, kepi wojny domowej, nie jesteś warte nawet tego ostatniego przytułku, który ci dałem u siebie!

— Precz! do kosza!

ALZACYO! ALZACYO!

Kilka lat temu odbytem małą podróż po Alzacyi i ta wycieczka jest jednem z najmilszych moich wspomnień. Nie była to podróż koleją, podczas której widzi się tylko okolicę, poprzerzynaną szynami i drutami telegraficznymi, ale wycieczka piesza z torbą na plecach, z porządnym kijem i małomównym towarzyszem... Wyborny sposób podróżowania! Wtedy wszystko, co się widzi, pozostaje w pamięci! Teraz szczególniej, kiedy Alzacya jest od nas oderwaną, przypominają mi się wszystkie moje wrażenia dawniejsze z tego utraconego kraju, z świeżością niespodzianek, jakich dostarczają wędrówki w okolicach prześlicznych, gdzie lasy tworzą ogromne zasłony zielone dokoła wiosek spokojnych, oblanych słońcem; gdzie na każdym zakręcie góry widzi się dzwonnice, osady fabryczne, przecięte strumieniami, tartaki, młyny, nieoczekiwane pojawianie się nieznanego kostyumu, wychodzącego nagle ze świeżej zieloności równiny.

— Panie! panie! już czwarta godzina — wołał do nas chłopak hotelowy.

Zrywaliśmy się prędko z łóżek i spakowawszy manatki, schodziliśmy po omacku po małych schodkach ze skrzypiących i cienkich desek. Na dole przed odejściem wypijaliśmy szklankę kirszu w ogromnej kuchni hotelowej, gdzie już od wczesnego ranka palił się ogień z trzaskaniem gałązek, co pobudza do marzenia o mgłach i wilgotnych od deszczu szybach. Potem w drogę! Z początku było to dość trudnem. O tej godzinie czuje się jeszcze całe zmęczenie dnia poprzedniego. W powietrzu i w oczach taka senność. Ale powoli zimna rosa znika, mgła ulatnia się ku słońcu. Idzie się i idzie naprzód... Kiedy upał stawał się zbyt uciążliwym, zatrzymywaliśmy się na śniadanie w pobliżu jakiegoś źródła lub strumyka i zasypialiśmy potem na trawie przy szmerze wody płynącej, ażeby się zbudzić od brzęku skrzydeł dużego bąka, który muska, wirując jak kula. Kiedy upał spadł trochę, udawaliśmy się w dalszą drogę. W krótce słońce zniżało się i w miarę tego droga wydawała się krótszą. Szukaliśmy jakiegoś przytułku, schronienia i zmordowani układaliśmy się do snu na łóżku w oberży, albo gdzieś w otwartej stodole, albo pod stertą pod gołem niebem, wśród szczebiotu ptasząt, brzęku owadów pod liśćmi, lekkich podskoków, cichych polotów, wśród wszystkich tych szmerów nocnych, które po wielkiem znużeniu wydają się początkiem marzeń sennych.

Jak się nazywały te wszystkie wioski, które spotykaliśmy rozrzucone przy drogach, nie przypominam sobie teraz, ale wszystkie one tak są do siebie podobne, szczególniej nad

górnym Renem, że przeszedłszy ich tyle i w różnych porach, zdaje mi się, jakobym widział tylko jedną; szeroka ulica, małe okienka w ołowianych ramach obrośnięte chmielem i różami, drzwi poroztwierane, w których starzy stali oparci, paląc fajki, albo wychylały się kobiety, ażeby zwołać dzieci z drogi... Kiedy przechodziliśmy rano, wszystko spało. Słychać było tylko szelest poruszanej słomy w oborach, lub zziajany oddech psów pode drzwiami. Po przejściu dwóch mil dalej, spotykaliśmy już wsie rozbudzone. Słychać było stukanie otwierających się okiennic, uderzanie się wiader, napełnianie koryt. Krowy wolnym krokiem idą do pojenia, opędzając muchy długimi ogonami. Dalej jeszcze była to zawsze taka sama wieś, ale w chwili wielkiej ciszy godziny popołudniowej, w lecie, gdy nie słychać nic prócz brzęku pszczół, które obsiadały gałęzie drzew, dochodzące aż do szczytu dachów, i prócz deklamacyi jednostajnej dzieci w szkole. Czasami, gdzieś na końcu kraju, jakiś mały zakątek już nie wioski, ale prowincyi — dwupiętrowy dom biały z błyszczącą, nowiuteńką tabliczką towarzystwa ubezpieczeń, z szyldem notaryusza, albo dzwoneczkiem lekarza. Przechodząc, słyszeliśmy dźwięki jakiegoś walca, granego na fortepianie, lub jakiej aryi trochę przestarzałej, wydobywające się przez zielone żaluzye na drogę, oblaną słońcem. Później trochę, o zmierzchu, pędzono bydło do domu, powracano z przędzalni. Ruch i hałas ogromny. Wszyscy przede drzwiami, na ulicy, całe bandy małych dzieci z jasnym i włosami, i szyby w oknach, oświetlone promieniami zachodzącego słońca...

Jeszcze jedno wspominam z rozkoszą, mianowicie wieś alzacką w poranek niedzielny, w godzinach nabożeństwa; ulice puste, w domach niema nikogo, prócz kilku starych, którzy grzeją się przede drzwiami na słońcu; kościół pełny, szyby w oknach kolorowe, barwy żółtoróżowej, jak płomień gromnicy, palącej się w dzień biały, przez kłęby dymu w przejściu płynie śpiew kościelny, jakieś dziecko z chóru, w szkarłatnej sutannie, z gołą głową, prędko przebiega plac z kadzielnicą w ręku po żar do piekarza...

Czasami całymi dniami przesiadywaliśmy w takiej wiosce. Wyszukiwaliśmy laski z wyrębami, drogi ukryte, te wysmukłe gaje, rosnące nad Renem, gdzie jego piękna, zielona woda ginie w bagniskach, pokrytych chmarą brzęczących owadów.

Niekiedy przez cienkie pręty gałęzi widzieliśmy wielką rzekę, obciążoną tratwami, barkami pełnemi trawy skoszonej na wyspach, wydającemi się same jak małe, rozrzucone wysepki, porwane prądem wody. Dalej był kanał między Rodanem i Renem, obrośnięty długim szeregiem topoli, których zielone wierzchołki zanurzają się w tej wodzie, jak gdyby udomowionej i uwięzionej w ciasnem łożysku. Tu i ówdzie na urwistem wybrzeżu widać chatkę dozorcy szluzu, dzieci z bosemi nogami, biegające po belkach szluzu, a wśród tryskającej piany płynie powoli transport drzewa, zajmujący całą szerokość kanału.

Potem, kiedy mieliśmy już dosyć tych zboczeń i włóczęgi, wychodziliśmy znowu na gościniec prosty, biały, wysadzany orzechami, które rzucały cień oświeżający, gościniec do Bazylei z łańcuchem Wogezów po prawej

stronie i pasmem czarnego lasu po lewej. O! miłe wypoczynki w upalny dzień lipcowy, jakie robiłem przy tej drodze do Bazylei, leżąc w rowie rozciągnięty jak długi na miękkiej, suchej trawie. Kuropatwy wabiły się z jednego pola na drugie, a nad naszemi głowami ciągnęła się melancholijnie szeroka droga... Słyszeliśmy przekleństw a furmana, wiozącego towary, odgłos dzwonka, skrzyp osi, stuk rozbijanych kamieni, galop konia śpieszącego żandarma, który rozpędził ogromne stado gęsi na drodze, roznosicieli towarów, stękających pod ciężkiemi pakami; widzieliśmy posłańca w bluzie niebieskiej, wyszywanej czerwono, który nagle schodził z gościńca i skręcał w boczną drogę pomiędzy dzikimi płotami, gdzie przeczuwa! jakąś chatkę, jakąś fermę, jakieś życie odosobniono zupełnie gdzieś w zakątku...

A te cudowne niespodzianki podróży pieszej! skrócenia, które się wydłużają, zwodnicze drogi, porobione kołami wozów, ślady końskie, które zaprowadzą was na sam środek pola, drzwi fałszywe, które się nie otwierają, przepełnione oberże i wreszcie ulewa, ta dobra letnia ulewa, która ulatnia się tak prędko w ciepłem powietrzu, wywołując parowanie równiny, wełny trzody i nawet opończy pastuszka.

Pamiętam jednę okropną burzę, która zaskoczyła nas w lesie, schodzących z góry, zwanej Banią Alzacyi. Kiedy wychodziliśmy z oberży tam na szczycie, chmury były pod nami. Niektóre sosny wystawały ponad nie szczytami; ale w miarę tego, jak spuszczaliśmy się niżej, wchodziliśmy rzeczywiście w wiatr, w deszcz, w grad. Nagle zostaliśmy

schwytani, objęci siecią błyskawic. Bliziutko nas upadła sosna, rażona piorunem. Schodząc po małej ścieżce, służącej do sprowadzania drzewa z gór, ujrzeliśmy przez zasłonę spływającej strumieniami wody, kupkę małych dziewczynek, ukrytych w wydrążeniu skały. Wystraszone, przyciśnięte jedna do drugiej, siedziały, trzymając oburącz fartuszki muślinowe i małe koszyczki, plecione z łozy, napełnione czarnemi jagodam i, świeżo uzbieranemi. Jagody błyszczały, jak jaśniejące punkciki, a małe czarne oczki, które patrzyły na nas z głębi skały, podobne były do tych mokrych czernic. Ta wielka sosna, rozciągnięta na pochyłości, te uderzenia piorunów, te małe włóczęgi leśne, obdarte i prześliczne — wszystko to wyglądało jakby obrazek z opowieści kanonika Szmidta... Ale za to jakie przyjemne ciepło po przybyciu do Rouge-Goutte! Jakie prześliczne ognisko do osuszenia naszej gromadki, a na ogniu pryska jajecznica, niezrównana jecznica alzacka, chrupiąca i złocista jak ciastko.

Właśnie na drugi dzień po owej burzy widziałem rzecz porywającą.

Na drodze do Donnemarie na skręcie płotu leżało pole, zasiane wspaniałem zbożem, dziś zniszczonem, ściętem, zrytem deszczem i gradem, literalnie pokładzionem na ziemię, splątanem na krzyż, połamanem. Ciężkie dojrzałe kłosy nurzały się w błocie, a chmary małych ptasząt trzepotały nad tą straconą niwą i skakały po wyrwach, pokrytych zmoczoną słomą, rozrzucając ziarna dokoła siebie. Wspaniałym był ten rabunek przy blasku słonecznym, pod czystem niebem! Koło tego pola

zniszczonego stał wysoki chłop pochylony, ubrany w dawny strój alzacki i przyglądał się szkodzie w milczeniu. Na jego twarzy malowała się prawdziwa boleść, ale zarazem jakaś rezygnacya i spokój, jakaś nieokreślona nadzieja, jak gdyby mówił sobie, że przecież pod tymi kłosami zwalonymi pozostała mu jego ziemia żyjąca, urodzajna, wierna, i dopóki ta ziemia jeszcze jego, nie należy rozpaczać.

CHORĄŻY.

I.

Pułk był rozstawiony na zboczu drogi żelaznej i służył za cel wojsku pruskiemu, stojącemu zbitą masą naprzeciw nas pod lasem. Strzelano do siebie z odległości ośmdziesięciu metrów. Oficerowie krzyczeli wciąż: »położyć się«, ale nikt nie chciał słuchać — dumny pułk stał dokoła swego sztandaru. Na tym wielkim widnokręgu, w świetle zachodzącego słońca, wśród zboża, falującego kłosami, i pastwisk, ta masa ludzi, poruszająca się niespokojnie, pokryta ciemnym dymem, miała wygląd trzody, zaskoczonej na stepie pierwszymi zwiastunami burzy.

Padał tam deszcz żelazny na to zbocze drogi! Nie było słychać niczego prócz suchego trzasku strzelaniny,

głuchego odgłosu manierek, staczających się do rowu, i świstu kul, wirujących długiemi liniami od jednego końca pola walki do drugiego, jakby struny naciągnięte głośnego, złowrogiego jakiegoś instrumentu. Od czasu do czasu sztandar, powiewający ponad głowami wojska, rażony kartaczem, znikał w pomroce dymu; wtedy dawał się słyszeć głos silny, dumny, panujący nad hukiem wystrzałów, jękiem umierających i przekleństwami rannych: »do sztandaru, dzieci — do sztandaru!«

Natychmiast jeden z oficerów rzucał się jak cień jaki w tej mgle czerwonej i bohaterski znak, po wrócony do życia, powiewał znowu nad walczącymi. Dwadzieścia dwa razy upadł już dzisiaj... Dwadzieścia dwa razy jego drzewce ciepłe jeszcze było wyrywane z ręki umierającego i wznoszone znów w górę, a kiedy o zachodzie słońca ci, co pozostali z pułku, zaledwie garstka mała, schodzili z pola walki, sztandar był już tylko strzępem w ręku sierżanta Hornusa, dwudziestego trzeciego chorążego w tym dniu.

II.

Sierżant Hornus był to sobie stary prostak, umiejący zaledwie podpisać swoje nazwisko, który dwadzieścia lat stracił na wysłużenie galonów podoficerskich. Wszystkie nędze żywota podrzutka, wszystkie nikczemności życia koszarowego widać było na tem czole niskiem, wypukłem, w tych plecach zgarbionych od noszenia tornistra, w tej minie niepewnej siebie żołnierza w szeregu. W dodatku trochę się jąkał, ale do noszenia sztandaru nie potrzeba

dobrej wymowy. Wieczorem po bitwie pułkownik powiedział do niego:

— Masz sztandar, mój zuchu, pamiętaj, strzeż go.

I na jego płaszczu wojskowym, który już przeszedł przez ogień i wodę, markietanka przyszyła natychmiast złoty pasek podporucznika.

Była to jedyna duma w jego życiu, pełnem upokorzeń. Wyprostowała się odrazu postawa wojaka. Biedna ta istota, przyzwyczajona do garbienia się, do chodzenia z oczami spuszczonemi ku ziemi, teraz miała zawsze wyraz dumy na twarzy, wzrok podniesiony do góry, ażeby widzieć rozwiewającą się jedwabną chorągiew i trzymać ją prosto, wysoko, ponad śmiercią, zdradą i ucieczką...

Nie było nigdy szczęśliwszego człowieka od Hornusa w dnie walki, kiedy oburącz trzymał drzewce sztandaru, dobrze umocowane w skórzanym futerale. Nie mówił nic, nie ruszał się wcale. Z miną poważną jak ksiądz, zdawało się, że trzyma coś świętego. Całe życie, cała siła skupiła się w palcach, zaciśniętych dokoła tej pięknej szmaty złoconej, na którą padały kule, i w tym wzroku wyzywającym, jakim patrzał wprost na Prusaków, jakby chciał powiedzieć:

— Spróbujcie tylko przyjść mi go zabrać!...

Nikt nie śmiał próbować, nawet śmierć sama. Po straszliwie krwawych walkach pod Borny i Gravelotte sztandar wyszedł porwany, podziurawiony, przeświecający od zadanych mu ran; ale zawsze niósł go stary Hornus.

III.

Następnie nadszedł wrzesień, wejście armii do Metz, blokada i ten długi spoczynek w błocie, gdzie działa pokrywały się rdzą, gdzie najwaleczniejsze w świecie wojsko, zdemoralizowane bezczynnością, brakiem pożywienia i wiadomości, umierało z febry i nudów obok broni, ustawionej w kozły. I dowódcy i żołnierze nie wierzyli w ocalenie, tylko Hornus jeden pełen był ufności, a szmata trójkolorowa starczyła mu za wszystko; dopóki czuł ją przy sobie, zdawało mu się, że jeszcze nie wszystko stracone. Na nieszczęście tylko, ponieważ nie było bitwy, pułkownik trzymał sztandar u siebie na przedmieściu Metzu i biedny Hornus cierpiał tak prawie, jak cierpi matka, kiedy odda dziecko swoje na mamki. Myślał o nim nieustannie. Kiedy go już brała wielka tęsknota, biegł jednym tchem do Metzu i tam, ujrzawszy sztandar, stojący spokojnie pod ścianą, zawsze na tem samem miejscu, wracał do swego przemoczonego namiotu pełen energii, cierpliwości, marzeń o przyszłych walkach, o posuwaniu się naprzód, o wielkim, w całej okazałości rozwiniętym sztandarze, powiewającym na granicy pruskiej.

Ale rozkaz dzienny marszałka Bazaine’a rozwiał jego złudzenie. Pewnego ranka, obudziwszy się, Hornus ujrzał cały obóz w ruchu, żołnierzy, stojących grupami, bardzo ożywionych, podnieconych, wydających okrzyki wściekłości, z pięściami wyciągniętemi w stronę miasta, jak gdyby gniew ich wskazywał winowajcę.

Krzyczano dokoła:

— Weźmy go... niech go rozstrzelają...

Oficerowie pozwalali na to... Chodzili na uboczu, z

głowami pospuszczanemi, jakby się wstydzili tych podwładnych swoich. Było się czego wstydzić zaiste! Odczytano stu pięćdziesięciu tysiącom żołnierzy, dobrze uzbrojonych, zdolnych do boju, rozkaz marszałka, który bez walki oddawał ich w ręce nieprzyjaciela.

— A sztandar? — zapytał Hornus, blednąc.

Chorągwie oddane były razem z resztą, z bronią, z amunicyą, ze wszystkiem...

— Niech go pio... pio... pioruny!... — wyjąkał biedny człowiek — nie dostaną mego!...

I pobiegł w stronę miasta.

IV.

Tam także panowało wielkie ożywienie. Gwardya narodowa, mieszczanie, gwardya ruchoma, wszyscy krzyczeli, poruszali się bezładnie. Szły drżące ze strachu deputacye do marszałka. Hornus nic nie widział, nic nie słyszał. Mówił sam do siebie, idąc ulicą przedmieścia.

— Odebrać mi mój sztandar! Zobaczymy!... Czy to możliwe? czy mają do tego prawo? Niech oddaje Prusakom to, co jest jego, swoje złocone karety, swoje naczynia stołowe, które przywiózł z Meksyku. Ale to, to moje! To mój honor! Zabraniam dotknąć się tego komukolwiek!

Mówił tak zdaniami, przerywanemi biegiem i jąkaniem się, ale w gruncie rzeczy miał pomysł — stary. Pomysł jasny, zdecydowany — zabrać sztandar, zanieść go do pułku, przerżnąć się przez Prusaków ze wszystkimi tymi, którzyby poszli za nim.

Kiedy przybył na miejsce, nie wpuszczono go nawet. Pułkownik także rozzłoszczony, nie chciał widzieć nikogo, ale Hornus nie rozumiał tego. Przeklinał, krzyczał, bił dyżurnego:

— Mój sztandar! Chcę mego sztandaru!

W końcu jakieś okno otworzyło się:

— To ty Hornusie?

— Tak pułkowniku, ja...

— Wszystkie chorągwie są w arsenale, pójdź tam a wydadzą ci kwit...

— Kwit?... po co?...

— Taki jest rozkaz marszałka.

— Ależ pułkowniku...

— Daj mi spokój!

I okno zamknęło się gwałtownie. — Stary Hornus chwiał się, jak pijany.

— Kwit... kwit... — powtarzał bezwiednie, wkońcu zaczął iść, zdając sobie sprawę tylko z jednej rzeczy, że sztandar jego jest w arsenale, i że należy go odebrać za jakąbądź cenę.

V.

Brama do arsenału była zupełnie otwartą, ażeby mogły przejechać furgony pruskie, które czekały, stojąc rzędem w podwórzu. Wszedłszy tam Hornus, zadrżał. Wszyscy inni chorążowie byli zgromadzeni — pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu oficerów wzburzonych, milczących. Te ponure wozy na deszczu, ci ludzie stojący grupami —

robiło to wrażenie pogrzebu.

W jednym kącie na zabłoconym bruku leżały zwalone na kupę wszystkie sztandary wojska Bazaine'a. Niewypowiedzianie smutny był widok tych chorągwi z jasnego jedwabiu, tych szczątków złotych frendzli i drążków ozdobnych, tych oznak sławy, rzuconych na ziemię, zbrukanych deszczem i błotem. Jakiś oficer z admininistracyi brał je po jednej i wywoływał numer pułku. Chorążowie zaś podchodzili kolejką dla otrzymania kwitu. Dwaj pruscy oficerowie sztywni i obojętni pilnowali ładowania. Więc tak odchodzicie święte, pełne chwały łachmany! odsłaniając swoje dziury, wycierając bruk, smutne jak ptaki z podciętemi skrzydłami! Odeszłyście z uczuciem wstydu z powodu sponiewierania tych pięknych rzeczy i każda z was uniosła ze sobą cząstkę Francyi. Odblaski słońca, które wam przyświecało podczas długich pochodów, pozostało jeszcze w waszych fałdach zniszczonych. W tych znakach od kul zachowałyście pamięć umarłych nieznanych, którzy wypadkowo polegli pod sztandarem, wziętym na cel...

— Hornusie, to ty!... wołają ciebie... idź odbierz pokwitowanie...

Sztandar stał przed nim. Tak! to był jego sztandar najpiękniejszy, najbardziej poszarpany ze wszystkich... Kiedy go ujrzał, zdało mu się, że jest jeszcze tam wysoko, na zboczu drogi żelaznej. Słyszał świst kul, druzgotanie manierek i głos pułkownika:

— Do sztandaru, moje dzieci!... — i oto on dwudziesty trzeci z kolei pośpiesza podnieść, podtrzymać biedny

sztandar, chwiejący się w słabnących rękach. O! tego dnia zaprzysiągł bronić go, pilnować aż do śmierci. — A teraz...

Na myśl o tem krew z serca uderzyła mu do głowy. Pijany, nieprzytomny rzucił się na oficera, wyrwał mu znak ukochany i schwycił oburącz; później próbował podnieść go wysoko, prosto, z okrzykiem: »Do sztandaru«... ale głos uwiązł mu w gardle. Uczuł, że drzewce chwieje się, wyślizguje mu się z rąk. W tem dusznem powietrzu śmierci, które cięży nad miastem, poddającem się wrogowi, sztandary nie mogły powiewać, nic dumnego nie mogło już w niem żyć... Stary Hornus upadł nieżywy.

NA FORPOCZTACH.

Notatki, które niżej podaję, były pisane z dnia na dzień, podczas zwiedzania posterunków wysuniętych. Jest to kartka z mego pamiętnika, którą wyrywam dziś, gdy pamięć o oblężeniu Paryża jest jeszcze świeżą. Wszystko tu jest urywkowe, dowolne, klecone na kolanie, poszarpane, jak od wybuchu granatu, ale podaję tak jak jest, nie zmieniwszy nic, nie odczytawszy nawet uprzednio. Bałbym się dodać coś wymyślonego, ażeby notatki zrobić bardziej zajmującemi i przez to zepsuć wszystko.

Poranek wrześniowy w Curneuve.

Przed nami równina biała, zimna, ponura, nieprzyjemna, kredowata. Po zmarzniętej grudzie drogi snują się bezładnie bataliony liniowe, pomieszane z artyleryą.

Pochód powolny i smutny. Przygotowują się do bitwy. Ludzie idą ze spuszczonemi głowami, drżący, z karabinami na pasach, z rękami wsuniętemi w rękawy jak w mufki. Od czasu do czasu słychać wołanie:

— Stać!

Konie plączą się, rżą. Wózki z amunicyą i żywnością podskakują. Artylerzyści podnoszą się na siodłach i z niepokojem patrzą poza białe mury Bourget.

— Co oni tam widzą? — zapytują żołnierze, idący pieszo.

Dalej naprzód!... I ludzka fala, zatrzymana na chwilę, płynie wciąż powoli, wciąż milcząca... Przed fortem Aubervilliers na widnokręgu, pod zimowem niebem, które oświeca srebrzysto-matowe wschodzące słońce, oddzieliła się mała, delikatna grupka, jakby na japońskim rysunku na perłowej muszli. To wódz ze swym sztabem. Bliżej mnie, tuż przy drodze, stado czarnych wron — to braciszkowie z ambulansu. Z rękami, skrzyżowanemi pod opończami, stoją i patrzą na defiladę tego mięsa armatniego z wyrazem pokory, poświęcenia i smutku.

Ten sam dzień. Puste, opuszczone wsie, domy pootwierane, dachy połamane, okna bez daszków, patrzące na nas, jakby oczy nieboszczyków. Chwilami w tych ruinach, gdzie wszystko wydaje odgłos, słychać jakiś ruch,

szmer kroków, skrzypienie drzwi, a kiedy już dom minie, na progu ukaże się jakiś żołnierz z oczyma wpadniętemi, patrzącemi podejrzliwie — to maruder szperający, albo dezerter, pragnący się ukryć...

Około południa weszliśmy do jednego z takich domów chłopskich. Był pusty i nagi, jakby odrapany paznogciami. Izba dolna, ogromna kuchnia bez drzwi i okien wychodziła na podwórze; w głębi podwórza żywopłot, a za nim pole, jak okiem sięgnąć. W jednym kącie były małe kamienne schodki ślimakowate. Usiadłem na stopniu i siedziałem tam dość długo. Tak pięknem było to słońce i ta wielka cisza dokoła. Dwie czy trzy duże muchy, pozostałe z ubiegłego lata, ożywione światłem, brzęczały na suficie pod belkami. Przed kominkiem, na którym były jeszcze ślady ognia, leżał jakiś kamień, czerwony od krwi zastygłej na nim. To siedzenie okrwawione w tym zakątku z ciepłymi jeszcze popiołami mówiło o posępnej robocie nocnej...

Wzdłuż Marny.

Wyszedłem 3-go września przez bramę Montreuil. Niebo pochmurne, chłodne, wiatr północny, mgła. Nikogo niema w Montreuil. Drzwi i okna pozamykane. Poza parkanem usłyszałem gęganie stada gęsi — ztąd wieśniak nie odjechał, tylko się schował. Trochę dalej znajduje się otwarta karczma. Ciepło tu, piec sapie. Trzej żołnierze prowincyonalnej gwardyi ruchomej nawpół stojąc jedzą śniadanie. Milczący, z zapuchłemi oczami, nabrzmiałą twarzą, z łokciami opartymi na stole, biedni żołnierze jedzą

i śpią razem. — Wyszedłszy z Montreuil, przeciąłem przez lasek Vincennes, niebieski od dymu biwaków. Tam stoi armia Ducrota. Żołnierze dla rozgrzania się rąbią drzewo. Aż litość bierze patrzeć na te osiki, brzozy, młode jesiony, które znoszą żołnierze, trzymając korzenie do góry, gdy piękna złocista korona ciągnie się za nimi po ziemi.

W Nogent też stoją żołnierze. Artylerzyści w ogromnych płaszczach, mobile[4] z Normandyi, pucułowaci i okrągli jak jabłka, mali żuawi zakapturzeni, zgrabni żołnierze liniowi, przygarbieni, zgięci we dwoje, podwiązani pod kepi niebieskiemi chustkami — wszystko to się porusza hałaśliwie i wałęsa po ulicy, tłoczy się przede drzwiami dwóch sklepów korzennych, które pozostały otwarte. Istne małe miasteczko w Algieryi.

Nareszcie wieś! Długa, prosta droga prowadzi do Marny. Przecudowny widnokrąg perłowej barwy, ogołocone z liści drzewa drżą we mgle. W głębi ogromny wiadukt kolei żelaznej ponury, z powyszczerbianymi łukami, jakby mu zębów brakowało. Przechodząc Perreux, widać jedną z małych willi przydrożnych — ogród stratowany, dom zrabowany, ponury, poza ogrodzeniem trzy duże, białe chryzantemy, które ocalały od rabunku, zupełnie rozkwitłe. Otworzyłem furtkę — wszedłem, ale były tak piękne, że nie ośmieliłem się ich zerwać.

Idę wprost przez pola i dochodzę do Marny. Przybyłem nad rzekę. Skąpane słońce igrało w wodzie. To cudowne! Naprzeciwko Petit Bry, gdzie tak zawzięcie walczono dnia poprzedniego; dziś małe, białe domki stoją spokojne na wzgórzu wśród winnic. Z tej strony rzeki stoi łódź w

trzcinie. Na wybrzeżu garstka ludzi rozmawia, spoglądając na przeciwległy pagórek. Są to wysłani na zwiady do Petit Bry, dla sprawdzenia, czy Sasi nie powrócili. Przeprawiam się z nimi na drugą stronę. Podczas, gdy łódź przepływa, jeden z żołnierzy, siedzący z tyłu, mówi do mnie cichym głosem:

— Może potrzebujecie karabinów? w merostwie, w Petit Bry, jest ich pełno.

Zostawili tam także pułkownika liniowego, wysokiego blondyna, z twarzą białą jak u kobiety i w żółtych butach, zupełnie nowych...

Głównie zwróciły jego uwagę buty nieboszczyka! Wciąż do nich powracał.

— Jak Boga kocham, piękne buty! aż mu oczy błyszczą, kiedy mówi o nich.

Gdy wchodziliśmy do Petit Bry, jakiś marynarz w płóciennych sandałach, obładowany czterema czy pięcioma karabinami, wyskoczył z uliczki i pędem podbiegł do nas, wołając:

— Patrzcie! Prusacy!

Przyczajamy się za niskim murem i patrzymy.

Ponad nami, na samym szczycie winnic, ukazała się najprzód melodramatyczna sylwetka kawalerzysty, pochylonego na siodle ku przodowi, w kasku na głowie, z karabinem w prawej ręce. Za nim ukazali się inni kawalerzyści, następnie piechota, która, przeskakując z tarasu na taras, rozbiegła się po winnicach.

Jeden z nich, bliziutko od nas, zajął pozycyę za drzewem i nie ruszał się ztamtąd; ogromny drab w długim szarym

płaszczu, z kolorową chustką, obwiązaną dokoła głowy. Z tego miejsca, gdzie my stoimy, przedstawia doskonały cel do strzelania. Ale po co!... Wysłani na zwiady wiedzą już, czego dowiedzieć się chcieli. Prędko wracamy do łodzi. Marynarze zaczynają kląć. Przepływamy Marnę bez przeszkody. Ale zaledwo wylądowaliśmy, jakieś stłumione głosy wołają na nas z drugiego brzegu:

— Oho! łódź!

To mój amator butów i kilku jego towarzyszy, którzy chcieli dojść do merostwa, a teraz pośpiesznie wracają. Na nieszczęście niema komu płynąć po nich. Przewoźnik zniknął.

— Ja nie umiem wiosłować — mówi żałosnym głosem sierżant, ukryty razem ze mną w jakiejś dziurze nad brzegiem wody.

Tymczasem tamci niecierpliwią się:

— Ależ dawajcie łódź! dawajcie łódź!

Trzeba ruszać. Twardy obowiązek. Przeprawa przez Marnę ciężka. Wiosłuję z całych sił moich i ciągle czuję na sobie wzrok Sasa, który patrzy na mnie z góry, stojąc nieruchomo za swojem drzewem.

Kiedyśmy przybijali do brzegu, jeden z naszych wskoczył z taką gwałtownością, że łódź się przechyliła i napełniła wodą. Niepodobieństwo wieźć wszystkich od razu, żeby się nie potopić. Jeden z dzielniejszych pozostaje na brzegu. Jest to kapral z wolnych strzelców, miły chłopak w niebieskiem ubraniu, z małym ptaszkiem, przypiętym nad daszkiem czapki. Chciałbym bardzo wrócić, zabrać go, ale oto zaczyna się strzelanina z jednego brzegu na drugi.

Poczekał chwilkę, nic nie mówiąc, potem zawrócił w stronę Champigny, idąc pod murami. Nie wiem, co się z nim stało.

Ten sam dzień. Połączenie dramatyczności z komizmem, czy to w rzeczach, czy u istot żywych wytwarza nadzwyczaj silne efekty. Czyż boleść na tle śmieszności nie wzruszy jeszcze głębiej, niż jakakolwiek inna? Czy można wyobrazić sobie mieszczanina z obrazu Daumier'a w agonii przedśmiertnej, albo wylewającego łzy nad trupem zabitego syna, którego mu odnieśli? Czyż nie jest to szczególnie wzruszającem?

Otóż więc wszystkie te wille mieszczańskie z nad brzegu Marny, wszystkie te śmieszne, kolorowane domki, blado-różowe, zielono-jabłeczne, kanarkowo-żółte, wieżyczki średniowieczne z cynkowemi ozdobami, kioski z fałszywej cegły, ogródki w stylu rococo, w których chwieją się banie srebrzyste, teraz, kiedy widzę je wśród dymu bitwy, z dachami powyszczerbianymi przez granaty, z połamanemi chorągiewkami, ze ścianami porysowanemi, pełne słomy i krwi — mają one teraz dla mnie straszny wygląd...

Dom, do którego wstąpiłem, żeby się obsuszyć, należał właśnie do tego typu. Wszedłem na pierwsze piętro do saloniku różowego ze złotem. Tapetowanie nie było jeszcze skończone. Po ziemi walały się ruloniki tapetów i kawałki złoconych gzemsów — zresztą ani śladu mebli, tylko skorupki potłuczonych butelek, a w kącie siennik, na którym spał jakiś człowiek w bluzie. A nad tem wszystkiem obrzydliwy zapach prochu, wina, świec i zbutwiałej słomy. Grzeję się przed ogniem, roznieconym z nóżki od stolika, na śmiesznym kominku w kształcie różowego plaska.

Spojrzawszy na niego, zdaje mi się, że spędzam popołudnie niedzielne na wsi, u poczciwej rodziny małomieszczańskiej. Czyż tam za mną w salonie nie grają w »żakieta?« Nie! to wolni strzelcy nabijają karabiny i strzelają. Huk pojedyńczych wystrzałów, to zupełnie jakby odgłos tej gry w kości. Na każdy wystrzał odpowiadają nam z przeciwnego brzegu. Odgłosy odbijają się od wody i powtarzają bez końca pomiędzy wzgórzami. Przez okno salonu widać Marnę, połyskującą, urwiste wybrzeże, zalane słońcem, i Prusaków, którzy, jak ogromne charty, wyglądają z poza tyk winogradu.

Wspomnienie z fortu Montrouge.

Na samym szczycie fortu na bastionie, pomiędzy worami z ziemią, armaty okrętowe wznoszą się dumnie na lawetach na wprost Chatillon. Ustawione z paszczami do góry, z antabami po obu stronach niby uszy, podobne były do wielkich psów myśliwskich, szczekających na księżyc, wyjących na śmierć... Trochę niżej na tarasie majtkowie dla rozrywki zrobili coś w rodzaju małego angielskiego ogródka, jak to robią czasem w kąciku statku. Była tam ławka, altana, trawniki, obwódki z wysadzanych kamyczków i nawet jeden krzew bananowy. Nie duży, nie wyższy może od hyacyntu, ale cóż to szkodzi! Pomimo to wygląda! ładnie ze swoją kitą zieloną, która oświeżała wzrok, zmęczony widokiem tych worków z piaskiem i stosów kartaczy.

O! mały ogródku z fortu Montrouge! Chciałbym go

ogrodzić i postawić w nim kamień pamiątkowy, na którym byłyby wypisane nazwiska Carves'a, Desprer'a, Soisset'a i wszystkich tych dzielnych marynarzy, którzy polegli tam, na tym sławnym bastionie!

W Fouilleuse.

Ranek 20 stycznia.

Pogoda piękna, cicha i jasna. Ogromne obszary zasianego pola falują w oddali, jak morze. Po lewej stronie wysokie wzgórza piasczyste, osłaniające fort Mont-Valerien. Na prawo młyn Gibet, mały wiatrak murowany, ze zgruchotanemi skrzydłami i bateryą na platformie. Idę przez kwadrans długim przekopem, nad którym unosi się jakby mgła nadwodna — to dym z biwaków. Żołnierze, siedząc w kuczki, robią sobie kawę i rozniecają ogień z mokrego drzewa, który ich oślepia dymem, pobudza do kaszlu. Od jednego końca rowu do drugiego przebiega długi kaszel suchy.

Fouilleuse. Folwark, otoczony na widnokręgu małymi gaikami. Przybyłem właśnie w tej chwili, kiedy ostatnie nasze szeregi cofały się. Był to trzeci batalion gwardyi ruchomej Paryża. Szedł w porządku, mało przerzedzony, z dowódcą na czele. Po tym opłakanym i niezrozumiałym popłochu, którego jestem świadkiem od wczorajszego wieczoru, widok ten dodał mi trochę otuchy. Poza wojskiem dwaj jeźdźcy na koniach mijają mnie — był to generał i jego adjutant. Konie idą stępa, ludzie rozmawiają, głosy ich brzmią dźwięcznie. Słychać, jak mówi adjutant

głosem młodym, trochę uniżonym:

— Tak, jenerale!... O! nie, jenerale!... Zapewne, jenerale!...

Jenerał mówi tonem łagodnym, wzruszonym:

— Jakto? on zabity?... biedne dziecko!... biedne dziecko!...

Poczem nastaje milczenie, słychać tylko stąpanie kopyt końskich po tłustej ziemi.

Zatrzymuję się trochę, ażeby się przyjrzeć temu smutnemu krajobrazowi, który przypomina mi cokolwiek Szelif i Mitidża w Algierze.

Szereg ludzi w niebieskich bluzach, niosących nosze z rannymi, posuwa się wolno po nierównej drodze, z chorągwiami białemi i czerwonym krzyżem. Można sądzić, że jesteśmy w Palestynie w czasie wojen krzyżowych...

PRUSAK BELIZARYUSZA.

Oto opowiadanie, które słyszałem w tym tygodniu w szynkowni w Montmartre. Ażeby je dokładnie powtórzyć, musiałbym posiadać żargon przedmiejski pana Belizaryusza, jego wielki fartuch stolarski i wypić dwa albo trzy hausty tego dobrego wina białego z Monmartre, które zdolne jest nadać akcent paryski nawet Marsylczykowi.

Wtedy, jestem pewien, uczulibyście dreszcz w waszych żyłach, tak jak ja go uczułem, słuchając w wesołej kompanii opowiadania Belizaryusza, strasznej, a prawdziwej historyi.

Było to na drugi dzień po ogłoszeniu zawieszenia broni. Moja żona wysłała mnie z dzieckiem na przechadzkę w stronę Villeneuve-la-Garenne w związku z małym barakiem, który posiadaliśmy tam na brzegu rzeki i o którym nie mieliśmy żadnej wiadomości od początku oblężenia. Nie bardzo byłem zadowolony z tego spaceru z malcem. Wiedziałem, że znajdziemy tam Prusaków, a ponieważ nigdy jeszcze nie spotkałem się z nimi oko w oko, bałem się, żeby nie wyszła ztąd jaka historya. Ale matka uparła się przy swoim projekcie:

— Ależ idź! ależ idź! przynajmniej dziecko odetchnie trochę świeżem powietrzem.

Poszliśmy więc obaj wprost przez pola.

Nie wiem, czy był zadowolony dzieciak, zobaczywszy, że są jeszcze drzewa i ptaki i że może brodzić po błotnistej roli. Co do mnie, nie czułem się dobrze, bo za wiele spiczastych kasków było widać na drodze. Od samego kanału aż do wyspy nie spotkaliśmy nic innego. A! zuchwalcy! Trzeba się było powstrzymywać, żeby nie rzucić się na nich.

Ale już nie mogłem opanować swego gniewu, kiedy wszedłszy do Villeneuve, ujrzałem wszystkie nasze ogrody stratowane, drzwi pootwierane i tych bandytów, którzy się

w nich rozgościli, wołających na siebie przez okna, suszących swoje wełniane trykoty na naszych żaluzyach, na altanach. Szczęście, że dziecko było przy mnie — ilekroć ręka mi zaswędziła, myślałem sobie, patrząc na nie::

— Uspokój się, Belizaryuszu! strzeż się, żebyś nie ściągnął nieszczęścia na smarkacza.

To tylko wstrzymywało mnie od zrobienia głupstwa. Teraz zrozumiałem, dlaczego matka chciała koniecznie, żebym wziął chłopca ze sobą. B arak, do którego szedłem, znajdował się na skraju okolicy, po prawej stronie, na wybrzeżu. Znalazłem go wypróżnionym od dołu do góry, tak samo, jak inne. Ani jednego sprzętu, ani jednej szyby. Nic, tylko kilka wiązek słomy i na kominku ostatnia noga jakiegoś dużego fotelu. Na każdym kroku czuć było obecność Prusaków, ale nie dostrzegłem ich nigdzie. Jednak posłyszałem, że się coś porusza w suterenach. Miałem tam mały warsztacik, przy którym zabawiałem się w niedzielę robieniem chomontów. Kazałem dziecku czekać, a sam zszedłem na dół.

Drzwi stały otworem, wszedłem. Olbrzymia postać żołnierza Wilhelmowego podnosi się z kupy wiórów i zbliża się ku mnie z oczyma wytrzeszczonemi, sypiąc przekleństwa, niezrozumiałe dla mnie. Zdaje mi się, że to bydlę obudziło się w złym humorze, bo po pierwszem odezwaniu się mojem, Prusak począł wyciągać szablę.

W jednej chwili krew uderzyła mi do głowy. Cała żółć, która zbierała we mnie od godziny, uderzyła mi do głowy... Wyrwałem śrubę z warsztatu i uderzyłem nią... Wiecie, towarzysze, że Belizaryusz ma ciężką rękę zazwyczaj; ale

tego dnia, zdawało się, że piorun Boga miałem w pięści... Po jednem uderzeniu mój biedny Prusak zaraz uciszył się i rozciągnął jak długi. Myślałem, żem go tylko ogłuszył. Aha! tak! udała mi się sztuka! nawarzyłem sobie piwa!

Ja, który nigdy w mojem życiu nie zabiłem nawet jaskółki, poczułem się głupio, wobec tego dużego ciała, leżącego przedemną... Ładny blondyn! na honor! z małą bródką, kręcącą się swawolnie, jak wiórki jesionowe. Nogi mi się trzęsły, kiedym patrzał na niego. Tymczasem malec nudził się tam na górze, usłyszałem, jak wołał mnie z całej siły:

— Ojcze! ojcze!

Prusacy przechodzili drogą — widać było ich nogi i szable przez okienko w piwnicy. Nagle przyszła mi straszna myśl do głowy.

— Jeżeli wejdą, dziecko zgubione... obu nas zamordują.

Opamiętałem się, nie drżałem więcej.

Cisnąłem prędko Prusaka pod warsztat, przykryłem go wszystkiem, co tylko mogłem znaleźć: deskami, trocinami, wiórami i pobiegłem po małego na górę.

— Chodź!

— Ojcze, co się stało?... czegoś taki blady?

— Chodź! chodź!

Powiadam wam, że kozacy mogliby mnie w tej chwili potrącać, przewracać, nie opierałbym się wcale. Zdawało mi się ciągle, że idą, że krzyczą na nas. Raz usłyszałem tentent nadbiegającego galopem konia: myślałem, że upadnę z przerażenia. Ale za mostami zacząłem trochę przychodzić do siebie. W Saint Denis zebrało się dużo

ludzi. Nie było obawy, ażeby nas złapali w takim natłoku.

Teraz znowu zacząłem myśleć o naszym baraku. Prusacy, znalazłszy tam swego towarzysza zabitego, przez zemstę zdolni byli wszystko spalić, nie mówiąc o tem, że rybak Jaequot, jako jedyny Francuz, który pozostał w okolicy, może mieć grube przykrości od nich za tego trupa w bliskiem sąsiedztwie z jego domem. Doprawdy! nie wypadało ratować się z biedy w podobny sposób.

Powinienem był uprzątnąć go gdzieś przynajmniej. W miarę, jak zbliżaliśmy się do Paryża, tem więcej myśl ta mię dręczyła. Poprostu wstyd mi było, żem zostaw ł Prusaka w piwnicy.

Kiedyśmy doszli do okopów, nie wytrzymałem już i powiedziałem do malca:

— Idź do domu, mały! ja muszę jeszcze wstąpić do gospody w Saint Denis.

Ucałowałem go i zawróciłem się na miejscu. Serce biło mi porządnie! Ale to mniejsza! czułem się spokojniejszym, bo dziecka ze mną nie było.

Kiedy wróciłem do Villeneuve, już się zaczynała noc. Domyślacie się, że wytrzeszczałem dobrze oczy i szedłem noga za nogą. Okolica wydawała się dość spokojną. Barak stał zawsze na swojem miejscu, het na dole, we mgle. Na wybrzeżu rzeki widać było jakiś długi, zwarty szereg — to Prusacy zbierali się na apel. Wyborna chwila, ażeby znaleźć dom pustym. Posuwając się wzdłuż ogrodzenia, spostrzegłem ojca Jacquot, zajętego rozciąganiem swoich sieci w podwórzu. Wbiegłem do naszego domu. Widocznie nie wiedziano jeszcze o niczem. Zszedłem do piwnicy,

szukając drogi po omacku. Prusak ciągle jeszcze leżał pod wiórami, ale dwa szczury zajęte już były obrabianiem jego hełmu. Ogarnęło mnie straszne przerażenie, kiedy poczułem, że przykrycie jego głowy się porusza. Na chwilę przypuszczałem, że nieboszczyk odżył... ale nie!... Głowa była ciężka, zimna. Przykucnąłem w kąciku i czekałem, aż wszyscy posną, ponieważ ułożyłem sobie plan w głowie, żeby wynieść ztąd trupa i wrzucić do Sekwany...

Nie wiem, czy skutkiem sąsiedztwa nieboszczyka, ale bardzo smutnym wydał mi się tego wieczoru pobyt Prusaków. Co chwila słychać było głośne trąbienie, powtarzające się trzy razy po trzy: ta! ta! ta! Istne skrzeczenie ropuch! Nie, przy takiej muzyce nie chcieliby zasypiać nasi szeregowcy...

Przez pięć minut słyszałem brzęczenie szabel po ziemi, pukanie do drzwi; następnie żołnierze weszli na podwórze i zaczęli wołać:

— Hoffman! Hoffman!

Biedny Hoffman leżał spokojnie pod kupą wiórków. Ale za to ja najadłem się strachu!

Co chwila oczekiwałem, że się drzwi otworzą i że Prusacy wejdą do piwnicy. Wziąłem szablę nieboszczyka i siedziałem nie poruszając się, i powtarzając sobie w duchu:

— Jeżeli wymkniesz się ztąd szczęśliwie, mój kochany, postawisz wspaniałą świecę świętemu Janowi Chrzcicielowi w Belleville.

W końcu, nawoławszy się napróżno Hoffmana, moi lokatorowie weszli do domu. Słyszałem człapanie ich dużych butów po schodach, a za chwilę cały barak chrapał,

jakby jaki wiejski zegar wieżowy. Na to tylko czekałem, ażeby wyjść z kryjówki.

Urwisty brzeg rzeki był zupełnie pusty, światła we wszystkich domach pogaszone. Dobra sprawa! Wracam prędko do piwnicy, wyciągam mego Hoffmana z pod warsztatu, stawiam go, przerzucam sobie przez plecy, jak posłaniec torbę... Ależ ciężki był rozbójnik!... Przytem jeszcze obawa, naczczo od samego rana. Myślałem, że nie będę miał siły dojść. Na samym środku wybrzeża, wydało mi się, że ktoś za mną idzie. Oglądam się — niema nikogo.

To księżyc wschodził...

Idąc, powtarzałem sobie:

— Uważaj, lada chwila warta będzie strzelać!

Dla dopełnienia przyjemności okazało się, że woda w Sekwanie była bardzo niska. Jeżeli rzucę go tuż na brzegu, ugrzęźnie i będzie leżał jak w misce... Schodzę do rzeki... idę coraz dalej... wody ani znaku... Dłużej nie mogłem już wytrzymać... Zdawało mi się, że mam wszystkie członki połamane. W końcu, sądząc, że już odszedłem dość daleko, rzucam mój pakunek... Masz tobie! zaczyna grzęznąć!... Ani sposób ruszyć go z miejsca. Pcham, pcham, no! dalej!...

Na szczęście zerwał się wiatr zachodni. Sekwana zaczęła przybierać. Słyszę, jak mój machabeusz rusza się wreszcie z miejsca. Szczęśliwej drogi! przełknąłem garść wody i pośpiesznie zacząłem powracać na brzeg. Kiedy przechodziłem przez most w Villeneuve, widać było coś czarnego na środku Sekwany. Zdaleka podobne to było do łodzi — to mój Prusak płynął z prądem wody od strony Argenteuil.

OBRONA TARASKONU.

Chwała Bogu! mam wreszcie wiadomość z Taraskonu! Od pięciu miesięcy umierałem z niepokoju! Znając egzaltacyę tego poczciwego miasta i usposobienie wojownicze jego mieszkańców, myślałem sobie: kto wie, co zrobi Taraskon? Czy się rzuci całą masą na barbarzyńców? czy da się bombardować, jak Strassburg, morzyć się głodem, jak Paryż, spalić się żywcem, jak Chateaudun? Czy też w porywie dzikiego patryotyzmu wysadzi się w powietrze, jak Laon i jego nieustraszona cytadela... Nic z tego, moi przyjaciele. Taraskon nie jest spalony, ani wysadzony w powietrze. Stoi sobie zawsze na tem samem miejscu spokojnie wpośród winnic. Słońce zalewa jego ulice, w piwnicach stoją całe beczki wybornego muszkatu i jak dawniej wody Rodanu, oblewające tę uroczą miejscowość, unoszą do morza obraz szczęśliwego miasta, odbicie zielonych żaluzyj u okien, ogrodów dobrze uprawionych i milicyi w nowych tunikach, odbywającej musztry na wybrzeżu.

Nie sądźcie jednak, że Taraskon nie przyjmował udziału w wojnie. Zachowanie się tego miasta było godnem podziwu, a jego upór bohaterski, o którym spróbuję wam

opowiedzieć, przejdzie do historyi, jako typowy wzór opora miejscowego, jako symbol żywy obrony południa Francyi.

Orfeony[5].

Otóż powiem wam, że do bitwy pod Sedanem nasi dzielni Taraskończycy zachowywali zupełny spokój. Dla tych dumnych dzieci Alpillów nie ojczyzna tam umierała, tylko żołnierze cesarscy, tylko cesarstwo. Ale kiedy 4 września ogłoszono Rzeczpospolitą, kiedy Atylla rozbił obóz pod murami Paryża, wtedy Taraskon się zbudził i pokazał, co to jest wojna narodowa. Zaczęło się naturalnie od manifestacyi orfeonistów.

Wiecie, do jakiego szału muzycznego dochodzą ludzie na południu. W Taraskonie zwłaszcza był to istny szał opętania. Przechodząc ulicą, słyszysz, że wszystkie okna śpiewają, ze wszystkich balkonów spływają ci na głowę dźwięki jakiegoś romansu. Wejdziesz do jakiegokolwiek sklepu, za kontuarem wzdycha jakaś gitara, nawet chłopcy w aptece obsługują cię, nucąc s ł o w i k a, albo l u t n i ę h i s z p a ń s k ą: tra-la-la-la-la-la-la. Oprócz tych wszystkich koncertów prywatnych mają jeszcze Taraskończycy fanfarę, orkiestrę miejską, orkiestrę kolegialną i nie wiem ile jeszcze towarzystw orfeonistów.

Właśnie orfeon św. Krzysztofa swym pięknym chórem na trzy głosy, zaczynającym się od słów: »Zbawmy Francyę«, dało pierwsze hasło do ruchu narodowego.

— O tak! tak! wybawmy Francyę — wołali poczciwi Taraskończycy, powiewając chustkami z okien i mężczyźni

klaskali w dłonie, a kobiety przesyłały pocałunki tej harmonijnej falandze, posuwającej się czterema szeregami, dumnym krokiem naprzód ze sztandarem na czele. Impuls był dany. Od tego dnia miasto zmieniło zupełnie swoją postać: nie słychać więcej dźwięków gitary, nie słychać rzewnych barkaroli. Wszędzie lutnia hiszpańska ustąpić musiała przed Marsylianką. Dwa razy na tydzień tłoczą się ludzie na placu, ażeby usłyszeć orkiestrę kolegialną, grającą Pieśń pożegnania. Za krzesła wyznaczono bajeczne ceny... Ale Taraskończyków to nie zraża.

Kalwakaty.

Po demonstracyi towarzystw muzycznych rozpoczęły swoją pracę kalwakaty historyczne na korzyść rannych. Niezwykle miły był w słoneczny dzień niedzielny widok tej dzielnej młodzieży taraskońskiej w miękkich, obcisłych butach delikatnej barwy, kwestującej u każdych drzwi, harcującej z ogromnemi halabardami i siatkami na motyle; ale najpiękniejszym był karuzel patryotyczny, przedstawiający Franciszka I w bitwie pod Pawią, który ci panowie powtarzali przez trzy dni z rzędu na Esplanadzie. Kto nie widział tego, nic nie widział. Teatr w Marsylii pożyczył kostiumów. Esplanada jaśniała i migotała jak zwierciadełko na sprężynie, służące do łapania skowronków, tyle tam było złota, jedwabiu, aksamitu, haftowanych sztandarów, tarcz, ozdób na szyszakach, czapraków, wstążek, kokard, kit, dzid stalowych, kirysów. A nad tem wszystkiem powiewał mistral[6] i potrząsał

wszystkiemi świecidełkami. Było to coś wspaniałego! Na nieszczęście, kiedy po zaciętej walce Franciszek I, którym był pan Bompard, dyrektor klubu, został otoczony przez gromadę rajtarów niemieckich, nieszczęśliwy Bompard zrobił przy oddawaniu szpady tak zagadkową minę, że zamiast »wszystko stracone prócz honoru — zdawał się raczej mówić: »Dajcie mi spokój, moi kochani! Ale Taraskończycy nie wchodzili w szczegóły i oczy wszystkich błysnęły łzami patryotycznego uniesienia.

Przebicie się przez Prusaków.

Te widowiska, śpiewy, słońce, oświeżający powiew z Rodanu, wystarczyły do zawrócenia głów. Obwieszczenia rządowe podniosły zapał do najwyższej potęgi. Na Esplanadzie schodzili się ludzie z groźnym wyrazem twarzy, z zaciśniętymi zębami, ciskający słowami, jak kulami. Rozmowy czuć było prochem. W powietrzu pachniała saletra. Zwłaszcza w kawiarni Komedyi, podczas rannego śniadania, trzeba było słyszeć tych wrzących Taraskończyków.

— Cóż u licha myślą sobie ci Paryżanie z tym swoim generałem Trochu?... Czy nie potrafią wyjść z miasta?... Łajdak pierwszego gatunku!... A! żeby to tak w Taraskonie! Trrr!... Jużby oddawna przełamano linie pruskie!

I podczas kiedy Paryż dławił się chlebem owsianym, ci panowie pożerali soczyste kuropatwy, oblewając je dobrem winem papieskiem i podjadłszy smacznie, osmarowani sosem aż po same uszy, krzyczeli jak głusi, uderzając o stół:

— Ależ zróbcie już raz tę wycieczkę i przebijcie się!... i naprawdę mieli słuszność.

Obrona klubu.

Tymczasem najście barbarzyńców posuwało się z dniem każdym coraz dalej ku południowi. Dijon oddał się, Lyon zagrożony, już nawet do pachnących traw doliny Rodanu rżały pożądliwie konie ułanów pruskich.

— Zorganizujmy naszą obronę! — powiedzieli sobie Taraskończycy i każdy się wziął do dzieła.

Za jednym zamachem ręki całe miasto zostało obwarowane, zabezpieczone blindażami, pourządzano barykady i kazamaty. Każdy dom zamienił się w fortecę. Przed sklepem rusznikarza Costecalda był wykopany rów, przynajmniej na dwa metry szeroki z mostem zwodzonym. Była to rzecz prześliczna! W klubie prace obronne były tak znakomite, że przez ciekawość schodzono się oglądać je. Pan Bompard, dyrektor, stał w górze na schodach i dawał objaśnienia paniom:

— Jeżeliby przyszli tędy... paf! paf! Jeżeli zaś przeciwnie przyjdą tamtędy — paf! paf!

Potem we wszystkich zakątkach ulic ludzie zatrzymywali się i mówili tajemniczym głosem:

— K a w i a r n i a K o m e d y i jest niezdobytą!

Albo:

— Mają zakładać miny pod Esplanadę...

Słowem było czem zastraszyć barbarzyńców!

Wolni strzelcy.

Oddziały wolnych strzelców organizowały się także w tym czasie. Nosiły one najrozmaitsze nazwy: Braci śmierci, Szakali narbońskich, Garlaczy z nad Rodanu — wszystkie pstrzyły się rozmaitemi barwami, jak centurya na polu, zasianem owsem. A ile tam było kit, piór kogucich, olbrzymich kapeluszy, szerokich pasów! Ażeby nadać sobie straszniejszy wygląd, każdy wolny strzelec zapuszczał brodę i wąsy, tak że ludzie nie poznawali się wzajemnie na ulicach. Oto zdaleka widzicie bandytę z Abruzzów, który idzie ku wam z wąsem, zakręconym do góry, z oczami pałającemi, potrząsając szablą, rewolwerem i jataganem; przy zbliżeniu się zaś poznajecie w nim poborcę podatkowego Pegonlade‘a. Innym razem znów spotykacie na schodach Robinsona Kruzoe w śpiczastym kapeluszu, z kordelasem zębatym jak piła, ze strzelbami na obu ramionach; w rezultacie okazuje się, że jest to rusznikarz Costecalde, który wychodził zjeść obiad na mieście. Najgorzej, że skutkiem tych starań o możliwie groźną powierzchowność, Taraskończycy zaczęli przerażać jedni drugich i wkrótce nikt nie odważał się wyjść z domu.

Króliki z królikarni i króliki z kapusty.

Dekret, wydany w Bordeaux, o organizacyi gwardyi narodowej, położył koniec temu położeniu nieznośnemu. Za podmuchem potężnego tryumwiratu pióra kogucie

rozleciały się i wszyscy wolni strzelcy z Taraskonu, wszyscy ci garłacze, szakale i inni zmieszali się razem i utworzyli batalion porządnej milicyi pod wodzą dzielnego generała Bravidy, dawnego kapitana ubiorczego. Ale tu zaszły nowe komplikacye. Dekret z Bordeaux, jak wiadomo, rozróżnił dwie kategorye gwardyi narodowej: gwardyi ruchomej i gwardyi pozostającej na miejscu — »królików z królikarni i królików siedzących w kapuście« — jak określił dość zabawnie poborca Pègonlade.

Po zorganizowaniu się batalionu »króliki z królikarni« miały piękną rolę do odegrania. Każdego ranku dzielny generał Bravida prowadził je na Esplanadę na musztrę i ćwiczenia tyralierskie.

— Położyć się! wstać! — i tak dalej.

Te małe wojenki przyciągały dużo ludzi. Nie brakowało nigdy ani jednej damy z Taraskonu, a nawet damy z Beaucaire przechodziły często przez most, ażeby przyjrzeć się naszym królikom. W tym samym czasie gwardya narodowa z kapusty pełniła skromnie służbę w mieście, stojąc na warcie przy muzeum, gdzie nie było nic do pilnowania prócz ogromnej jaszczurki, wypchanej mchem i dwóch małych armatek z czasów dobrego króla René. Nie mogły przecież damy z Beaucaire przechodzić przez most dla takich drobnostek...

Jednakże, kiedy po trzech miesiącach tych ćwiczeń z bronią palną spostrzeżono, że gwardya narodowa z królikarni nie wyrusza wcale z Esplanady, zapał począł ostygać.

Napróżno dzielny generał Bravida krzyczał na królików: »położyć się! wstać!« — nikt go więcej nie słuchał. Bóg widzi jednak, że to nie była wina tych biednych królików, jeżeli nie wyruszali dotąd. Sami byli na to wściekli. Pewnego dnia nawet odmówili robienia ćwiczeń.

— Dosyć tej parady! My jesteśmy od maszerowania! Niech nas prowadzą w pochód!

— Albo wymaszerujecie, albo ja ustąpię! — powiedział dzielny generał Bravida i cały dysząc gniewem, udał się do merostwa, żądając wyjaśnień.

Tam powiedziano mu, że nie mają żadnych rozporządzeń i że to należy do prefektury.

— Udajmy się do prefektury — powiedział sobie Bravida.

I oto widzimy go jadącego expresem do Marsylii na poszukiwania prefekta. Nie było to rzeczą łatwą, zważywszy, że w Marsylii było zawsze pięciu lub sześciu prefektów czynnych, nikogo zaś, ktoby mógł powiedzieć, który z nich był legalnym. Szczęśliwym trafem Bravida złapał natychmiast jednego w prefekturze, podczas zebrania rady. Nasz generał przemówił w imieniu swoich podwładnych z powagą dawnego kapitana ubiorczego.

Przy pierwszych zaraz słowach prefekt przerwał mu.

— Przepraszam, generale, co to znaczy, że od was żołnierze żądają wymarszu, a mnie proszą o pozostawienie ich na miejscu? Przeczytaj pan to!

I z uśmiechem na ustach podsunął mu płaczliwą petycyę, którą podały dwa króliki, najzapaleńsi zwolennicy wymarszu. W petycyi, opatrzonej świadectwami lekarza,

proboszcza i notaryusza, proszono o pozwolenie przeniesienia się do szeregów królików kapuścianych, a to z powodu różnych dolegliwości.

— Mam takich więcej, niż trzystu — dorzucił prefekt, uśmiechając się ciągle. — Rozumiesz teraz, generale, dlaczego nie śpieszymy z wysłaniem waszych żołnierzy. Za wiele, na nieszczęście, wysłano takich, którzyby chcieli pozostać. Nie potrzeba już ich więcej! Niech Bóg zachowa Rzeczpospolitą i pozdrówcie ode mnie waszych królików!

Pożegnalny poncz.

Można sobie wyobrazić, jak zawstydzony wracał generał Bravida do Taraskonu.

Ale oto jeszcze jedna historya. Podczas jego nieobecności, Taraskończycy postanowili urządzić pożegnalny poncz składkowy dla odjeżdżających królików. Napróżno generał Bravida mówił, że nie warto zachodu, że nikt nie odjeżdża — składka była zebrana, poncz zamówiony, nie pozostawało nic więcej, jak tylko wypić go, co też uczyniono.

Pewnej niedzieli wieczorem, w salonach merostwa, odbyła się ta rozrzewniająca ceremonia pożegnalnego ponczu; do białego dnia przeciągały się toasty, wiwaty, dysputy, śpiewy patryotyczne, aż szyby municypalne drżały. Każdy naturalnie wiedział doskonale, co myśleć o tem pożegnaniu; gwardya narodowa kapustników, która płaciła za poncz, była przekonana, że towarzysze jej nie odjeżdżają; a ci z królikarni, którzy go pili, mieli to samo

przekonanie, jak również szanowny generał, który przyszedł i przysiągł głosem wzruszonym przed tymi zuchami, że gotów jest iść na ich czele, wiedział najlepiej ze wszystkich, że nie wyruszą wcale. Ale to wszystko jedno!... Południowcy są tak nadzwyczajni, że przy końcu pożegnalnego ponczu wszyscy płakali, ściskali się, a co najważniejsza, wszyscy byli szczerzy, nawet generał...

W Taraskonie, jak wszędzie na południu Francyi, często obserwowałem ten objaw złudzenia.

1. ↑ W Compiegne przebywał zwykle w jesieni Napoleon III z żoną i dworem.
2. ↑ Michaud — znakomity dowódca ciężkiej jazdy za Napoleona I.
3. ↑ Przywódcy komuny paryskiej w r. 1871.
4. ↑ Gwardya ruchoma.
5. ↑ Towarzystwa muzyczno-śpiewackie.
6. ↑ Wiatr północno-zachodni.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Alphonse Daudet](#) i tłumacza: [Antoni Potocki](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Nowele z czasów oblężenia Paryża - całość

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- NiktWażny
- PMG
- Matlin
- Wydarty
- Tujec
- Seboloidus
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium